

**STEFAN
ŻEROMSKI**

SYZYFOWE

PRACE

Stefan Żeromski

Szyzyfowe prace

«Public Domain»

Żeromski S.

Syzyfowe prace / S. Żeromski — «Public Domain»,

Akcja powieści Syzyfowe prace rozgrywa się w II połowie XIX wieku w zaborze rosyjskim. Marcinowi Borowiczowi, głównemu bohaterowi, czytelnik towarzyszy przez cały okres dorastania. Borowicza poznajemy jako kilkuletniego chłopca, który zostaje oddany do szkoły. Od dziecięcych kłopotów z nauką i tęsknotą za domem, przez pierwsze przyjaźnie i miłości, czytelnik dociera do problemów związanych z różnymi postawami wobec kraju znajdującego się opresji, a także ideałami i kwestią wierności im. Powieść podejmuje temat rusyfikacji w szkole i ukazuje zarówno tych, którzy walczyli z tym procesem, jak i tych, którzy mu ulegali. Syzyfowe prace zostały wydane po raz pierwszy w 1897 roku, Żeromski opublikował ją pod pseudonimem Maurycy Zych. Stefan Żeromski jest jednym z najśłynniejszych polskich twórców przełomu XIX i XX wieku. W swoich utworach często podejmował tematykę patriotyczną i nie stronił od trudnych tematów społecznych.

© Żeromski S.

© Public Domain

Содержание

I	5
II	16
III	27
IV	37
Конец ознакомительного фрагмента.	40

Stefan Żeromski

Syzyfowe prace

I

Termin odstawienia Marcina do szkoły przypadł na dzień czwarty stycznia.

Obydwoje państwo Borowiczowie postanowili odwiedzić jedyńka na miejsce. Zaprzężono konie do malowanych i kutych sanek, główne siedzenie wysłano barwnym, strzyżonym dywanem, który zazwyczaj wisiał nad łóżkiem pani, i około pierwszej z południa wśród powszechnego płaczu wyruszono.

Dzień był wietrzny i mroźny. Mimo to jednak, że szczyty wzgórz kurzyły się nieustannie od przelatującej zadymki na rozległych dolinach, między lasami, zmarznięte pustkowia leżały w spokoju i prawie w ciszy. Szedł tylko tamtędy zimny przeciąg, wiejąc syпки śnieg niby lotną plewę. Gdzieniedzie wałęsały się nad zaspami smugi najdrobniejszego pyłu jak pyłek przyduszonego paleniska.

Chłopak siedzący na koźle, podobny do głowy cukru opakowanej szarą bibułą, w swym spiczastym basztyku¹, który w tamtych okolicach od dawien dawna uległ nostryfikacji² i otrzymał swojską nazwę maślocha, i w brunatnej sukmanie – mocno trzymał lejce garściami ukrytymi w niezmiernych rękawicach wełnianych o jednym wielkim palcu.

Konie były wypoczęte, nie chodziły bowiem od pewnego już czasu do żadnej ciężkiej roboty, toteż pomykały, parszcząc, ostrego kłusa po ledwo przetartej, a już znowu na pół zadętej drożynie, i sucho, jednostajnie trzaskały podkowami o nadmarzniętą zwierzchnią skorupę śniegu.

Pan Walenty Borowicz ćmił fajkę na krótkim cybuszku, wychylał się co kilka minut na bok i przyglądał uważnie już to sanicom, już migającym kopytom. Wiatr go chłostał po zaczerwienionej twarzy i on to zapewne wyciskał owe łzy, które szlachcic ukradkiem ocierał.

Pani Borowiczowa nie siliła się wcale na maskowanie wzruszenia. Łzy stały bez przerwy w jej oczach skierowanych na syna. Twarz ta, niegdyś piękna, a w owej chwili wyniszczona już bardzo przez troski i chorobę piersiową, miała niezwykły wyraz namysłu czy jakiejś głębokiej a gorzkiej rozwagi.

Malec siedział „w nogach”, tyłem do koni. Był to duży, tęg i muskularny chłopak ośmioletni, z twarzą nie tyle piękną, ile rozumną i miłą. Oczy miał czarne, połyskliwe, w cieniu gęstych brwi ukryte. Włosy krótko przystrzyżone „na jeża” okrywała barankowa czapka wciśnięta aż na uszy. Miał na sobie zgrabną bekieszę³ z futrzanym kołnierzem i wełniane rękawiczki. Włożono nań ten strój odświętny, za którym tak przepadał, ale za to wieszono go do szkoły. Z niemego smutku matki, z miny ojca udającego dobry humor wnioskował doskonale, że w owej szkole, którą mu tak zachwalano, przyobiecanych rozkoszy będzie nie tak znowu dużo.

Znajomy widok wioski rodzinnej znikł mu prędko z oczu; nagie wierzchołki lip stojących przed dworem, schyliły się za brzeg lasu obwieszonych kiściami śniegu... Najbliższa góra poczęła wykrecać się, zmieniać, jakby krzywić i dziwacznie garbić. Wypadały teraz przed jego oczy smugi zarośli, jakich jeszcze nigdy nie widział, płoty z sękatych, nieociosanych żerdzi, na których wisiały przedziwne, niezmiernie długie sopte lodu, wynurzały się pewne obszary puste, gdzieniedzie okryte lodami o barwie sinawej, zimnej i dzikiej. Niekiedy las z nagła podbiegał ku drodze i odkrywał przed zdumionymi oczyma chłopca posępne swoje głębie.

– Patrz, Marcinek! zając, trop zajączy... – wołał co chwila ojciec, trącając go nogą.

¹ *basztyk* (z tur.) – kaptur z końcami do wiązania dokoła szyi, używany w wojsku rosyjskim. [przypis edytorski]

² *nostryfikacja* (z łac.) – tu: uzyskanie prawa obywatelstwa, spolszczenie. [przypis edytorski]

³ *bekiesz* (z węg.) – długi, obszerny płaszcz podszyty futrem. [przypis edytorski]

- Gdzie, tatku?
- A o, tu! widzisz? Dwa ślady duże, dwa małe. Widzisz?
- Widzę...

– Będziemy teraz szukali tropów lisa. Czekaj no... My go tu zaraz, oszusta, wyśledzimy, a potem palniemy mu w łeb, zdejmujemy futro i każemy Zelikowi uszyć prześliczną lisiurę dla pana studenta, Marcinka Borowicza. Czekaj no, my go tu zaraz...

Marcinek wpatrywał się w głuche leśne polany i zamiast rozrywki zimną bojaźnią na tych tropach spotykał. Z rozkoszą byłby pobiegł śladem lisów i zajęcy, nurzał się w śniegu i hasał wśród przydętych zarośli, ale teraz z całego obszaru i z tajemniczych jego cieniów fioletowych wiała na niego bolesna i zdumiewająca tajemnica: szkoła, szkoła, szkoła...

Ostatni szmat tzw. odpadków leśnych wykręcił się w inną stronę i zdawało się, że ucieka za oczy, na przełaj, polami. Roztwarzała się przestrzeń płaska, tu i ówdzie poprzegradzana opłotkami, w których na dnie małych wąwozików kryły się drożyny, przydęte w owej chwili zaspami podobnymi do wysokich kopców albo spiczastych dachów. W jedną z takich dróg chłopskich wjechały sanie państwa Borowiczów i poczęły kopać się przez wydmy. Kiedy Marcinek wykręcił głowę i wiercił się na miejscu, żeby pomimo smutku spojrzeć na konie, dostrzegł przy krańcu pola smugę szarych ścian pokrytych białymi strzechami. Owe ściany tworzyły linię równą i przykuwały oczy niezwykłym na śniegach kolorem.

- Co to jest, mamusiu? – zapytał z oczyma łez pełnymi.

Pani Borowiczowa uśmiechnęła się z przymusem i na pozór spokojnie odrzekła:

- To nic, kochanku... To Owczary.
- To już w tych Owczarach... szkoła?

– Tak, kochanku... Ale to nic. Przecież ty jesteś tęgi, rozumny, mądry chłopiec! Przecie ty kochasz swoją mamusię. Trzeba się uczyć, malutki, uczyć...

– Ale on tylko udaje... – rzekł ojciec udając również, że się zanosi od śmiechu. – Alboż to daleko do Wielkiejnocy? Zleci jak z bicza strzelił! Ani się obejrzysz, aż tu zajeżdża wózek przed szkołę. „Po kogoś przyjechał?” – pytają Jędrka. – „A po naszego panicza, po studenta” – on powie. A w domu co mazurków, co babek, co placków z migdałami... powiadam ci... zatrzęsienie!

Wiatr szedł w polu ostrzejszy i smagał twarze rodziców chłopca. Marcin poddał się ściśnieniu serca, które uczuwał pierwszy raz w życiu, i milcząc słuchał nawału zdań o szkole, konieczności uczenia się, o gimnazjum, o mundurze, mazurkach, zajęcach, o cukrze lodowatym, kapiszonach, posłuszeństwie, o jakiejś pilności i nieskończonym łańcuchu innych wyobrażeń. Chwilami przestawał myśleć i patrzył znużonym wzrokiem, jak wiatr rozdmuchuje futro w pewnym miejscu elkowego⁴, w kształcie peleryny, kołnierza matki, zupełnie jak gdyby ktoś chuchał na to miejsce przyłożywszy do niego usta; chwilami znowu tłumiał całą potęgą dziecięcej woli wybuch przerażenia, które wstrząsało jego żyły jak wystrzał niespodziewany. Tymczasem janczary⁵ dźwiękły⁶ głośnie, z obu stron drożyny ukazały się ściany stodół, później parkany, bielone chaty, i sanie wśliznęły się na utorowaną, szeroką ulicę wioski. Chłopiec powożący zaciął konie, a nim upłynęło kilkanaście minut, wstrzymał je przed budynkiem większym trochę od chat włościańskich, ale nieodbiegającym pod względem struktury od ich typu. We frontowej ścianie tego domostwa połyskiwały dwa okna sześcioszybowe, a nad drzwiami wchodowymi⁷ czerniała tablica z napisem: *Naczalnoje Owczarskoje Ucziliszcze*⁸. Obok budynku szkolnego stała skromnie niewielka obórka i tuliła się, nieco mniejsza od obórki, kupka krowiego nawozu. Między drogą a domem znajdowała się pewna przestrzeń, zapewne warzywny

⁴ elkowy – zrobiony z futra tchórzy. [przypis edytorski]

⁵ janczary – dzwonki przy końskiej uprzęży. [przypis edytorski]

⁶ dźwiękły – dziś popr. forma: dźwięknęły. [przypis edytorski]

⁷ wchodowy – dziś: wejściowy. [przypis edytorski]

⁸ *Naczalnoje Owczarskoje Ucziliszcze* (ros.) – szkoła początkowa w Owczarach. [przypis edytorski]

ogródek, w którym tego dnia sterczało jedno jakieś drzewko obciążone mnóstwem sopli. Dokoła tego placu biegł płot z powyłamywanymi kołkami.

Gdy sanki zatrzymały się na drodze, z sieni *uczyliszcza* wybiegł bez czapki nauczyciel, pan Ferdynand Wiechowski, i żona jego, pani Marcjanna z Piliszów. Nim zdążyli zbliżyć się do sanek, Marcin potrafił zadać matce szereg kategoriycznych pytań:

– Mamusiu, to nauczyciel?

– Tak, kochanku.

– A to nauczycielka?

– Tak.

– A czy mama widzi, jak temu nauczycielowi strasznie się grdyka rusza?

– Cicho bądź!...

Nauczyciel miał na sobie rude i mocno zniszczone palto z wystrzępionymi dziurkami od guzików i guzikami rozmaitego pochodzenia, na nogach grube buty, a na długiej szyi wełniany szalik w prążki czerwone i zielone. Szerokie, żółtawe wąsy, od czasów we mgle przeszłości leżących niepodkręcane do góry, zakrywały usta pana Wiechowskiego jak dwa strzępy sukna. Palcami prawej ręki, powalonymi atramentem, z gracją i kokieterią odgarniał z czoła spadające promienie włosów i rozkopywał śnieg szastając po nim nogą w nieprzerwanych ukłonach. Zwiędła i zastygła twarz jego marszczyła się w uśmiechu czołobitności, który czynił ją podobną do maski.

O wiele śmieiej zbliżała się do sanek pani nauczycielowa. Była to kobietka przystojna, choć nieco za wielka i za otyła. Miała oczy przykryte szafirowymi okularami. Te wielkie okulary natychmiast i bardzo źle usposobiły dla niej Marcina Borowicza. Nie wiedział, czy ta pani w danym momencie patrzy na niego i, co najważniejsza, czy ona w ogóle go widzi. Drogą dziwnego skojarzenia wrażeń prędko wykombinował, że nauczycielka podobna jest do ogromnej muchy.

– Powitać, powitać! – wołała, szepleniąc⁹ pani Wiechowska i poczęła wysadzać z sanek matkę Marcinka.

– Jakże zdrowie? – zapytał nauczyciel gwałtownym sposobem i nie wiedzieć kogo, ani na chwilę nie przestając uśmiechać się jednostajnie.

– Powitać kawalera! – mówiła coraz śmieiej i głośniej nauczycielowa, teraz już specjalnie do Marcina. – Cóż, były dudy¹⁰? Pewno były, ejże!...

– Cóż to za dudy, mamó? – szepnął kawaler przez zęby.

– Jakże zdrowie? – wypalił znowu nauczyciel, mocno zacierając ręce.

– Ano, otóż i jesteśmy! – rzekł ze swobodą pan Borowicz. – Dudy? Było tam tego trochę, ale, chwalić Boga, niewiele, niewiele.

– Spodziewam się, proszę pana dobrodzieja – rzekła nauczycielka tonem wysoce dydaktycznym – spodziewam się... Marcinek powinien to rozumieć – mówiła z rosnącym uczuciem i rozdymając nozdrza – że rodzice i cała familia oczekują po nim wiele, bardzo a bardzo wiele! Powinien to rozumieć, że musi stać się nie tylko pociechą rodziców w sędziwej starości, podporą ich lat zgrzybiałych, ale i chlubą...

Ten wyraz „chlubą” wymówiła ze szczególnym namaszczeniem.

– A, naturalna rzecz! – zakończył nauczyciel, zwracając się do pana Borowicza z takim wyrazem twarzy, jakby pytał: „No, a może by tak kieliszeczek *szpagaterii*¹¹?”

– Czymkolwiek Marcinek zostanie – mówiła nauczycielka coraz płynniej, brnąc po śniegu do sieni, a stamtąd wprowadzając gości do mieszkania – czy to obywatelem ziemskim, czyli też kapłanem, czy sekretarzem gminnym albo oficerem – zawsze powinien to mieć przede wszystkim

⁹ *szepleniąc* (daw.) – dziś: *sepleniąc*. [przypis edytorski]

¹⁰ *dudy* – tu: płacze. [przypis edytorski]

¹¹ *szpagateria* (żart.) – wódka. [przypis edytorski]

na uwadze, że ma być chlubą swej rodziny. Nie wiem, jaki o tej sprawie sąd mają państwo dobrodzieje, co się zaś mnie tyczy, to jest to moje święte przeświadczenie...

„Znowu tą chlubą...” – ze znużeniem myślał kandydat na stanowisko tak podwyższone wśród całej rodziny. Ponieważ zaś przed chwilą wyraźnie słyszał, że może być oficerem, a jednocześnie patrzył w oczy matki, zamglone niewymowną miłością i łzami, opuściła go tedy naprężona uwaga, z jaką wsłuchiwał się w mowę nauczycielki, i począł z całą swobodą myśleć o błyszczących szlifach i dzwoniących ostrogach. Byłby nawet przysiągł w owej chwili, że ostrogi i szlify są ową nieznaną chlubą.

Pokoik, do którego wprowadzono przybyłych, miał niesłychanie małe wymiary i zastawiony był mnóstwem gratów. Jeden kąt zajmowało wielkie łóżko, drugi kąt piec kolosalnych rozmiarów, trzeci znowu łóżko; na środku stała kanapa i okrągły stolik z jesionowego drzewa, pokrajany najwidoczniej *kozikami*¹² i porysowany jakimś narzędziem tępym a zębatym. Na ścianach wisiały tu i ówdzie litografie¹³ wyobrażające świętych i święte. Przy drzwiach prowadzących do izby szkolnej zawieszony był na sznurku duży kalendarz w zielonej okładce, a na nim rzemienna pięciopalczysta dyscyplina¹⁴ z trzonkiem do złudzenia naśladowującym sarnią nóżkę. Właśnie w owej chwili, kiedy Marcinowi troiła się po głowie chluba w kształcie szlif¹⁵ ułańskich, wzrok jego padł na okropny instrument...

– No, i jakże tam, he? – zapytał nauczyciel, wyciągając chudą i kościstą rękę w kierunku czupryny Marcina z takim gestem, jakiego używał zwykle felczer Lejbuś, kiedy się do strzyżenia „pod włos” zabierał. Jednocześnie przejęły malca dwa dreszcze: na widok dyscypliny i tej okrutnej, chudej łapy. Westchnął z głębi piersi w taki sposób, że tego aktu nikt nie widział, nawet matka, i poddał spokojnie głowę jakiejś dziwnej pieszczocie nauczyciela, która przypominała rozcieranie świeżo nabitego guza. Straszna rezygnacja, do której zmuszał się całym wysiłkiem woli, skupiła się w cichych myślach:

„Mama mię tu zostawi samego... on mię z początku będzie brał za głowę... o, tak... a potem...”

Później z odwagą, która była trudnym do zniesienia cierpieniem, spojrzął na dyscyplinę i nawet podniósł wzrok na pana Wiechowskiego.

Tymczasem do pokoju weszła dziewczynka, mniej więcej dziesięcioletnia, na cienkich nogach obutych w duże trzewiki – i dygnęła. Miała na sobie dosyć gruby kubrak i włosy zaplecione w tyle głowy w cienki warkoczyk, noszący w tamtych okolicach nazwę „mysiego ogonka”.

– To Józia... – rzekła pani Wiechowska. – Uczy się i wychowuje u nas. Jest to właśnie *siostrzenica* księdza Piernackiego.

To słowo „siostrzenica” nauczycielka podkreśliła tonem zagradzającym do umysłów osób obecnych drogę jakiegokolwiek, chociażby nawet minimalnej, wątpliwości.

– A... – mruknęła dosyć niechętnie pani Borowiczowa.

– Przywitajcie się, moje dzieci! – rzekła nauczycielka z emocją. – Będziecie się razem uczyli, powinniście więc żyć w zgodzie i pracować z zapałem!

Józia spojrzała na Marcinka iskrzącymi się oczami, a potem uległa całkowitemu zgłupieniu.

– Marcinek! – szepnął chłopcu do ucha pan Borowicz – przywitajże się... To tak zaczynasz postępować w szkole! Wstydz się!... No!

Chłopiec zaczerwienił się, spuścił oczy, a potem raptownie wyszedł na środek izby, rozstawił nogi szeroko, zsunął je z hałasem i zabawnie kiwnął przed koleżanką cały swój korpus. Józia straciła do reszty przytomność umysłu. Spoglądała na mistrzynię swą wytrzeszczonymi oczyma i bokiem

¹² *kozik* – składany nożyk. [przypis edytorski]

¹³ *litografia* (z gr.) – obrazek odbity za pomocą płyty kamiennej, na którą uprzednio naniesiono rysunek. [przypis edytorski]

¹⁴ *dyscyplina* – tu: bicz o kilku rzemiennych. [przypis edytorski]

¹⁵ *szlif* – dziś popr. forma D.lm: szlifów; *szlify oficerskie* – epolety, naramienniki munduru z oznaczeniami stopnia wojskowego; także: stopień oficerski. [przypis edytorski]

cofała się z pokoju. Była już blisko drzwi, gdy je właśnie otworzono. Ukazał się w nich kipiący samowarek¹⁶ na rachitycznie krzywych nóżkach, powyginany w sposób nadzwyczajny.

Niosło go przed sobą wielkie i brzydkie dziewczysko, odziane w czarną od brudu, zgrzebną koszulę, potargany i wytluszczony lejbnik¹⁷, wełnianą zapaskę¹⁸ i szmatkę na włosach nieczesanych od kilku miesięcy.

Samowarek ustawiono na rogu stołu przy pomocy czynnej pana nauczyciela i zaczęto zasypywać i zaparzać herbatę w sposób wysoko ceremonialny i obrzędowy.

Rodzice Marcinka spostrzegli, że jest to z pewnością pierwsza herbata w bieżącym półroczu szkolnym.

Mrok z wolna zalegał pokoik. Pan Borowicz przysunął swe krzesło do rogu kanapki szczelnie wypełnionej przez panią Wiechowską i półgłosem zaczął prowadzić z nią ostateczną umowę o „leguminy”¹⁹, jakich miał dostarczyć w zamian za światło udzielać się mające w tym domu jego synowi.

Marcinek stał teraz obok matki i słuchał, jak ojciec mówił:

– Kaszy, wie pani, to nie mogę, bo ani mój młynarz tego jak się patrzy nie zrobi – a zresztą, wie pani... Wolę za to kazać zemleć na pytel²⁰ pszenicy. Będziesz pani miała czy na kluski, na łazanki, czy choćby też ciastko jakie upiec, żeby się przecie chłopczyzna rozerwał. Grochu... ileż byś pani chciała?...

Słowa te wnikły aż do głębi umysłu chłopca i sprawiały mu ból istotny. Teraz pojmował, że naprawdę w szkole zostaje. W tym brzmieniu mowy ojca, w naradach z nauczycielką czuł po raz pierwszy ton handlowy i nieodwołalną konieczność ulegania swemu losowi.

Chwilami owa boleść szerzyła się w małym jego ciele i przechodziła w chęć dzikiego oporu, wrzeszczenia, tupania nogami, szarpania sukien matki, to znowu w głuchą i osłabłą rozpacz.

Pani Borowiczowa brała również udział w tym sporządzaniu niepisanego kontraktu, zanotowywała²¹ nawet w małej książeczce ilości owych „legumin”, ale czuła na sobie wzrok chłopca, pomimo że go nie widziała i miała oczy spuszczone. Przez serce jej ciągnęła prawie taka sama zawieja obłądnych uniesień. Kto wie nawet, czy nie absolutnie taka sama?... Kto wie, czy gwałt jego niecierpliwości nie szarpał jej tak samo i w tej samej minucie...

– Ale też pani jesteś nienasycona! – mówił pan Borowicz półserio do nauczycielki, gdy dopominała się to o ryby, to o włoszczyznę, to nareszcie o len, płótno zgrzebne itd.

– Ij! – odrzekła z jadowitym uśmiechem pani Wiechowska – nienasycona, proszę pana dobrodzieja, to ja tam nie jestem. Czyż to jedno z drugim wyniosą te drobiazgi tyle, co byście państwo dobrodziejstwo musieli dać korepetytorowi u siebie na wsi? Taki korepetytor, proszę pana, dziś ledwo za trzydzieści rubli w *miesiąc* na wieś pojedzie, a chce mieć pokój osobny, wszelkie wygody, wszelkie przyjemności, usługę... młodą, konia pod wierzch, chce się zabawić kiedy niekiedy, chce świąt i wreszcie... co to mówić...

– Pani kochana wiesz – odrzekł szlachcic trochę szorstko – że dlatego do was dziecko oddaję, bo mię na korepetytora nie stać. Rzeczywiście nie stać mię. Choćbym się nawet szarpał i dał mu te jakieś trzysta rubli, to nie mam w domu kąta, gdzie bym takiego guwernera ulokował. Pani kochana może i wiesz, może nie wiesz, że u nas nie co dzień mięso na obiad, a z obcym człowiekiem w domu trzeba by się było stawiać...

¹⁶ *samowar* – daw. urządzenie do przygotowywania herbaty. [przypis edytorski]

¹⁷ *lejbnik* (z niem.) – krótki wierzchni kaftanik. [przypis edytorski]

¹⁸ *zapaska* – fartuch. [przypis edytorski]

¹⁹ *leguminy* – dosł. desery; tu: artykuły żywnościowe. [przypis edytorski]

²⁰ *pytel* – tu: rodzaj mąki, kilkakrotnie zmielonej, dokładnie oczyszczonej i przesianej. [przypis edytorski]

²¹ *zanotowywała* – dziś: notowała. [przypis edytorski]

– Co to mówić, moja droga pani – rzekła pani Borowiczowa – przecie pan Wiechowski przygotowuje Marcinka do pierwszej klasy nie gorzej, a zapewne daleko lepiej niż najlepszy korepetytor, a u pani będzie mu tak samo jak u matki. On sam wie, że trzeba się uczyć, trzeba zębami i pazurami! ... Mamusia kocha, mamusia bardzo kocha, ale to trudno, to trudno. On to zresztą wie, on pokaże, jaki to z niego chłopiec i czy to słuszne, co o nim mówił pan Miętowicz, że on tylko beczeć umie. On pokaże!

Istotnie w Marcinku niespokojne wybuchy uciszyły się i cała jego rozpacz niby na jakimś haku zawisała. Spojrzał mężnie w oczy matki i dojrawszy w kącikach tych oczu pod samymi powiekami dwie łzy uśmiechnął się dziarsko.

– Widzi pani, widzi pani, oto mój syn, mój kochany syn! – mówiła teraz pani Borowiczowa wypuszczając te łzy uwiecznione mocą woli pod powiekami.

Ojciec przyciągnął go do siebie i głaskał po czuprynie, nie mogąc słowa wymówić. Tymczasem noc zapadła. Wniesiono do pokoju lampę i pani nauczycielowa zaczęła nalewać herbatę. Około godziny siódmej pan Borowicz wstał z za stołu. Jego lewy policzek drgał szybko, a usta uśmiechały się smutno.

– No, Helenko, na nas pora... – rzekł do żony.

– O, cóż znowu? – wyszepleniła nauczycielowa – cóż znowu? Przecie na Gawronki w *kwadrans* czasu sankami się prześliznie...

– Tak, pani, ale teraz księżycyca nie ma, zasy py duże, chłopak drogi nie zna, zresztą i na *państwa* czas.

Pani Borowiczowa ułożyła tłumoczek z bielizną Marcina obok łóżka, na którym malec miał sypiać, niepostrzeżenie wymacała ręką, czy siennik mu dobrze wypchano, następnie ucałowała go szybko, pożegnała Wiechowskich i wsunawszy jeszcze w rękę brudnej Małgoski dwa złote groszy dwadzieścia wyszła na dwór i wsiadła na sanki. Również pośpiesznie mąż za nią wyszedł. Nauczycielka trzymała młodego Borowicza za rękę, gdy konie ruszyły z miejsca, a pan Wiechowski klepał go po ramieniu. Służąca trzymała wysoko lampę kuchenną. Gdy janczary odezwały się raz pierwszy, podniosła światło wyżej i biały krąg jego padł na śnieg rozesyłany dokoła. Wówczas właśnie Marcinek spostrzegł, jak tył sanek z zarysami głów rodzicielskich przesunął się na ostatnią linię światła i wpadł w ciemność. Chłopak z nagłą wrzasnął przeraźliwie, szarpnął się, wyrwał z rąk nauczycielki i pędem pobiegł za sankami. Trafił na rów idący wzdłuż drogi, jednym susem wybrnął z zasy i pędził przed siebie. Odbiegłszy od światła, nic nie widział w ciemności. Potknął się raz, drugi na jakichś kołkach i upadł na ziemię wrzeszcząc co sił:

– Mamusiu, mamusiu!

Obydwoje nauczycielstwo schwycili go pod ręce i zaprowadzili przemocą do szkoły. Janczary dzwoniły gdzieś daleko coraz ciszej, jakby spod wydm śniegu.

– Nigdy nie spodziewałam się czegoś podobnego! Nigdy! Żeby taki duży chłopiec chciał uciekać do Gawronek... Pfe, brzydki! – sapała nauczycielka.

Marcinek ucichł, ale nie ze wstydu. Dusiło go jakieś bolesne zdumienie: gdzie rzucił okiem, nigdzie matki nie było. W mózg jego wrzynała się myśl jak drzazga: nie ma, nie ma, nie ma... Ze ściśniętymi zębami wszedł do mieszkania, usiadł na wskazanym przez nauczycielkę krzeselku i słuchając jej długiego kazania ciągle myślał o matce. Te myśli były szeregiem wizerunków jej twarzy, które przemykały mu się pod powiekami i nikły. Znikanie ich było zawiązkiem, pierwszym sygnałem tęsknoty.

Brudna Małgosia słała tymczasem łóżka i ustawiała wraz z nauczycielem parawan przed posłaniem na kanapce, przeznaczonym dla koleżanki Józki. Ustawianie trwało dosyć długo i szczególne nastęrczać musiało trudności, bo służąca w małej przerwie czasu, gdy nauczycielka wydalila się do kuchni, co chwila odskakiwała z chichotem.

Nareszcie wszystkie łóżka zostały posłane i Marcinowi kazano się rozbierać. Położył się co tchu, nakrył kołdrą i zaczął knuć plan ucieczki.

Chytrze obierał stosowny moment o wczesnym poranku, przypominał sobie drogę do Gawronek, wmyślał się w fizjonomie zakątków leśnych, pustek, które widział przed wieczorem, i uciekał przez nie w marzeniu. Z wolna rozczyniała się w jego sercu, znużonym nawałą uniesień, senna żalność i wylewać poczęła w cichym płaczu. Łzy dużymi kroplami spływały na poduszkę i rozlewały się w szerokie plamy... Zasnął splakany w znużeniu i bezczuciu.

Wśród nocy nagle się ocknął. Raptem usiadł na łóżku i rozszerzonymi oczyma patrzył przed siebie. Ktoś chrapał jak maszyna do ugniatania żwiru.

Mała nocna lampka, ustawiona w kącie izby, oświetlała jedną ścianę i część powały. Marcinek ujrzał czyjeś olbrzymie, grube i tłuste kolano wystające spod pierzyny, nieco dalej wielki nos i wąsy, które poruszały się miarowo wskutek chrapania, jeszcze dalej półokrągły koszyk wyszyty paciorkami, a przy mdłym świetle błyszczący jak kły obnażone.

Uczucie osamotnienia, graniczące z rozpaczą, chwyciło małego szlachcica stalowymi szponami. Wzrok jego latał niespokojnie od przedmiotu do przedmiotu, z miejsca na miejsce, szukając czegoś znajomego i bliskiego. Spoczął wreszcie na tym kącie kanapki, gdzie siedzieli rodzice, ale i tam spał ktoś obcy. Z kątów izby zasnutych mrokiem wychylał się strach wielkooki, a widok gratów stojących w półświecie zdawał się grozić w sposób złowrogi. Długo malec siedział na posłaniu, patrząc bezsilnie i nie będąc w stanie najsroźszym swoim cierpieniem odgadnąć, po co to wszystko z nim zrobiono, co to znaczy, dla jakiej racji tak jest męczony.

Nazajutrz, po nocy źle przespanej, obudził się bardzo nierychło. W mieszkaniu nie było nikogo, łóżko nauczycielskie było posłane, kanapka uprzątnięta. Za drzwiami, obok których wisiał kalendarz i dyscyplina, rozlegało się prawie nieustające kaszlanie i cichy pomruk rozmów, urozmaicony od czasu do czasu przez śmiech rubaszny albo płacz hałaśliwy.

Marcinek, rozciekawiony do najwyższego stopnia, wyskoczył z łóżka, ubrał się co tchu i nasłuchiwał pod tajemniczymi drzwiami, które wczoraj taki miały pozór, jakby prowadziły do pustego lamusa, a dziś były zasłoną jakiegoś interesującego widowiska.

– A co to, kawaler ciekawy zobaczyć szkołę? – krzyknęła nauczycielowa wynurzając się z kuchenki. – A mył się kawaler, czesał się, ubrał ochędoźnie²²? Najpierw trzeba się ubrać, a później dopiero myśleć o zobaczeniu szkoły.

Marcinek ubrał się z mozołem, bo aż dotąd matka mu pomagała myć się i ubierać, szybko wypił kubek gorącego mleka i czekał. Po śniadaniu nauczycielowa wzięła go za rękę i tak jak stała, w białym kaftaniku, wprowadziła do izby szkolnej. Gdy się drzwi otwały, w głowie Marcina prześliznęła się zaraz myśl: to jest kościół, nie żadna szkoła...

Izba była pełna. Na wszystkich ławkach siedzieli chłopcy i dziewczęta. Gromadka najpóźniej przybyłych, nie znalazłszy miejsca, stała pod oknem. Chłopcy siedzieli w sukmanach, w ojcowskich *spancerach*²³, nawet w matczynych lejbikach, niektórzy mieli szyje okryte szalikami, a ręce w wełnianych rękawicach; dziewczęta miały na głowach zapaski i chuściny, jakby się znajdowały nie w dusznej izbie, lecz wśród zasp szczerzego pola. Wszystko kaszlało, a znaczna większość przed wejściem nauczycielki ćwiczyła się w dawaniu sobie nawzajem *sera*, której to rozrywki nie byłaby zresztą w możności tym mianem technicznym określić.

– Michcik, masz tu panicza z Gawronek, pokaże mu szkołę, bo ciekawy – rzekła nauczycielka zwracając się do chłopca siedzącego tuż obok drzwi w pierwszej ławie.

Był to wyrostek lat już kilkunastu, jasny blondyn z siwymi oczami. Grzecznie posunął się w ławie i zrobił miejsce dla Marcinka, który przycupnął na brzeżku zawstydzony i zmieszany. Pani Wiechowska wyszła, rzuciwszy głośne i stanowcze zalecenie publicznego spokoju.

– Jakże ci na imię? – spytał Michcik uprzejmie.

– Marcin Borowicz.

²² *ochędoźnie* (przestarz.) – porządnie. [przypis edytorski]

²³ *spancer* właśc. *spencer* (ang.) – krótki kaftan. [przypis edytorski]

– A mnie Piotr Michcik. Umiesz czytać?

– Umiem.

– Ale pewnie po polsku?

Marcin spojrział na niego ze zdumieniem.

– *Pa russki umiesz czitat*²⁴?

Marcin zaczerwienił się, spuścił oczy i wyszeptał cichutko:

– Ja nie rozumiem...

Michcik uśmiechnął się z tryumfem i zaraz wy dobył z drewnianej teczki, zaopatrzonej w sznurek do wieszania jej na ramieniu, chrestomatię²⁵ rosyjską Paulsona, otworzył tę księgę na zatłuszczonym miejscu i zaczął szybko czytać, potrząsając głową i rozdymając nozdrza:

– „*W szapkie zolota litocho staryj russkij wielikan podżidał k-siebie drugoho*²⁶...”

Uwaga małego Borowicza była zupełnie pochłonięta przez rozmowę z Michcikiem. Tymczasem ze wszystkich ławek wyłazili z wolna uczniowie i przybliżali się krok za krokiem, szturchając jedni drugich i wyglądając zza ramion. Utworzyło się wkrótce dokoła Michcika i Borowicza zwarte audytorium dzieci. Wszystkim oczy zdawały się wyskakiwać na wierzch z ciekawości. Stali w milczeniu, patrząc na Marcinka bez zmrużenia powieki i tak nieruchomo, jakby w paroksyzmie²⁷ ciekawości stęzeli.

Tymczasem Michcik wciąż czytał ów wiersz szybko i coraz szybciej. Skończywszy, jeszcze raz tryumfująco spojrział na Borowicza i rzekł:

– Tak się czyta! Zrozumiałeś też co?

– Nic a nic... – odrzekł nowicjusz rumieniając się po uszy.

– E, nauczysz się jeszcze i ty – rzekł tamten protekcyjnie. – I ja se myślałem, że trudno, a teraz i *stichi*²⁸ na pamięć umiem, i *rachonki* ci robię po rusku, i *diktowkę*²⁹. Gramatyka, ta to trudna... uuch! Sprawiedliwie! *Imia suszczestwitielnoje, imia priłagatielnoje, miestoiimienije*³⁰... Cóż, nie rozumiesz, choćbym ci i powiedział...

Nagle podniósł głowę i patrząc na belki rzekł, nie wiedząc do kogo, głośno, z uczuciem, a nawet jakby w uniesieniu:

– „*Podleżaszczje jest' tot przedmiot, o ktorom goworitsia w przedłożenii*³¹!”

Potem znowu rzekł do Marcina:

– Widzisz, i Piątek już umie czytać, choć kiepsko. Czytaj, Wicek!

Przy Michciku siedział chłopiec niezmiernie ospowaty. Ten otworzył tę samą książkę w równie wytłuszczonym miejscu i zaczął dukać jakiś ustęp. Od razu pogrążył się w tę czynność tak zupełnie, że wystrzały z armat nie byłyby w stanie przerwać jego roboty.

Raptem gromada obserwująca rozbiegła się wśród szturchańców i hałasu. Drzwi od sieni rozwarły się szeroko i wszedł nauczyciel. Twarz jego była ledwie podobna do wczorajszej. Była to teraz maska surowa, a bardziej jeszcze śmiertelnie znudzona. Rzucił okiem na Marcinka i kwaśno się uśmiechnął do niego, stanął na katedrze i dał znak Michcikowi. Ten wstał i zaczął głośno, z deklamacją mówić modlitwę:

– „*Prieblagij Gospodi, nisposli nam blagodat*³²...”

²⁴ *Pa russki umiesz czitat'* (ros.) – umiesz czytać po rosyjsku. [przypis edytorski]

²⁵ *chrestomatia* (z gr.) – zbiór fragmentów tekstów literackich, służący jako podręcznik szkolny. [przypis edytorski]

²⁶ *W szapkie zolota (...) drugoho* (ros.) – stary rosyjski olbrzym w czapie z litego złota wypatrywał drugiego olbrzymia. [przypis edytorski]

²⁷ *paroksyzm* – skurcz. [przypis edytorski]

²⁸ *stichi* (ros.) – wiersze. [przypis edytorski]

²⁹ *diktowka* (ros.) – dyktando. [przypis edytorski]

³⁰ *imja suszczestwitielnoje (...) miestoiimienije* (ros.) – rzeczownik, przymiotnik, zaimek. [przypis edytorski]

³¹ *podleżaszczje (...) przedłożenii* (ros.) – podmiotem nazywamy przedmiot, o którym mówi się w zdaniu. [przypis edytorski]

³² *Prieblagij (...) blagodat'* (ros.) – Przenajświętszy Panie, ześlij nam łaskę; początek modlitwy porannej w ówczesnych szkołach

W chwili zaczęcia modlitwy wszystkie dzieci jak na komendę zerwały się na równe nogi, a po jej ukończeniu siadły w ławkach. Szkołę wypełniał po brzegi nie tylko zaduch, ale literalny³³ smród, ciężki i nieznośny.

Wiechowski spoglądał przez chwilę ponuro na zaleźnioną gromadę, następnie otworzył dziennik i zaczął czytać listę. Kiedy wymieniał jakieś imię w brzmieniu rosyjskim i nazwisko, izbę zalegała śmiertelna cisza. Dopiero po upływie pewnego czasu dawały się słyszeć szepty, podpowiadania, wynikało szturchanie i kopanie nogami danego indywiduum, no i koniec końców z jakiegoś miejsca ukazywała się ręka dziecka i słycać było głos:

– Jest.

– Nie jest wcale, tylko *jest'* – wołał głośno nauczyciel. Sam wymawiał kilkakroć ten wyraz dobitnie, dla przykładu, miękcząc ostatnią spółgłoskę. Miało to taki skutek, że gdy z kolei czytał nazwiska, chłopcy wstawali i podnosili palce wołając z całą satysfakcją i w brzmieniu zupełnie swojskim:

– Jeść!

Marcinek nie pojmował z tego wszystkiego nic zupełnie, bo ani wymagań *prefesura*, ani całej ceremonii, a już najmniej objawów tak powszechnej żądzы jedzenia.

Gdy przeczytane zostały wszystkie nazwiska, pan Wiechowski znowu skinął na Michcika, a sam usiadł na krześle, wsunął dłonie w rękawy, założył nogę na nogę i począł patrzeć w okno z taką determinacją, jakby to właśnie stanowiło jeden z punktów jego urzędowych czynności.

Michcik głośno czytał, a właściwie wyrzaskiwał z Paulsona tekst długiej bajki ludowej rosyjskiej o chłopie, wilku i lisie.

Nauczyciel poprawiał kiedy niekiedy akcenty wyrazów.

Tymczasem w całej izbie szkolnej gwar się ciągle szerzył. Słycać było dźwięki: *a, be, ce, de, e...* albo: *a, be, we, że, ze...*

Dzieci, które umiały już alfabet, „pokazywały” go symplakom³⁴ świeżo przybyłym: niektóre uczyły towarzyszków *ślabizoka*³⁵, a przeważna³⁶ większość, patrząc niby to w elementarze i mrucząc coś pod nosem, nudziła się haniebnie.

Gdy Michcik odkrzyczał całą bajkę, złożył książkę i dał ją koledze Piątkowi, a sam wyszedł na środek do tablicy.

Wiechowski podyktował mu zadanie arytmetyczne na mnożenie.

Michcik wypisał dwie duże cyfry, podkreślił je okropnie grubą linią, przed mnożną ustawił taki znak mnożenia, że można by na nim powiesić palto, i zaczął szeptać do siebie, z cicha, tak przecie, że Marcin słycał go dobrze:

– Pięć razy sześć... trzydzieści. Piszę *kółko*, a sześć mam *w rozumie*.

Cały ten akt mnożenia Michcik wykonywał z wielkim trudem i mozolem. Twarz mu się mieniła, mięśnie oblicza, rąk i nóg wykonywały bezcelową pracę takiego naprężenia, jakby uczeń dźwigał belki, rąbał drwa lub orał. Skoro jednak zmógł jakieś pięć razy sześć – i napisał *kółko* – zaraz pógłosem, tak żeby nauczyciel słycał, tłumaczył całą sprawę:

– *Piat'ju szest' – tridcat*³⁷...

A nauczyciel nie zwracał teraz uwagi ani na Michcika, ani na Piątka, który zaczął pokazywać swoją sztukę – lecz ciągle z martwym stoicyzmem³⁸ patrzył w okno.

rosyjskich. [przypis edytorski]

³³ *literalny* – dosłowny. [przypis edytorski]

³⁴ *symplak* (z łac.) – prostak; tu: nowicjusz, początkujący. [przypis edytorski]

³⁵ *ślabizok* – sylabizowanie. [przypis edytorski]

³⁶ *przeważny* – dziś: przeważający. [przypis edytorski]

³⁷ *piat'ju (...)* *tridcat'* (ros.) – pięć razy sześć, trzydzieści. [przypis edytorski]

³⁸ *stoicyzm* – tu: obojętność. [przypis edytorski]

Marcinek, słuchając po raz drugi czytania Piątka, przypomniał sobie Żyda Zelika, krawca wiejskiego, który często w Gawronkach siedział całymi miesiącami na robocie. Stał mu w oczach jak żywy – zgrzybiały, na pół ślepy, śmieszny Żydzina, z wiecznie oplutą brodą, gdy siedzi i zeszywa stary kozuch barani. Okulary związane szpagatem³⁹ wiszą mu na końcu nosa, igła nie trafia w skórę kozucha, lecz w palec, później w pustą przestrzeń, później gdzieś więźnie...

Marcinek pragnąłby roześmiać się serdecznie z kłopotów Zelika, z jego powolnego ścibania, lecz czuje na twarzy lży żalu i niewymownej miłości nawet dla tego Żyda z Gawronek... Czytanie Piątka wywiera na niego, nie wiedzieć czemu, tak dziwne wrażenie.

Piątek trafia na dźwięki, łapie je z pośpiechem, wiąże i spaja jakby uderzeniem pięści, pcha, jakby całym korpusem, do kupy... Słysząc dziwne słowa... Oto malec stęka:

– „Pie... piet... pietu... pietuch⁴⁰...”

Marcinek schyla głowę, zatyka sobie usta i dusi się ze śmiechu, szepcząc:

– Co za pietuch? Pietuch!...

Nauczyciel budzi się jakby ze snu, powtarza ze złością kilkakrotnie ten wyraz ku tajemnej uciechu całej klasy i znowu wpada w zadumę. Nareszcie Piątek skończył lekcję, siadł ciężko na ławce i zaczął wycierać spocone czoło.

Wiechowski otworzył dziennik i wyczytał nazwisko:

– *Warfołomiej*⁴¹ Kapciuch.

Na środek izby wyszedł chłopak w nędznej sukmaneczynie i ojcowskich widocznie butach, gdyż posuwał się tak zgrabnie, jakby miał nogi obute w dwie konewki. Mały Bartek Kapciuch, który w szkole awansował na jakiegoś *Warfołomieja*, rozłożył swój elementarz na brzeżku nauczycielskiego stolika, wziął w brudną rękę drewnianą wskazówkę, wyczytał całe *a, be, we, że, ze...* chlipnął kilka razy nosem i poszedł na miejsce z taką uciechą, że nawet nie czuł pewno ciężaru swych niezmiernych butów. Powołany został znowu jakiś *Wikientij*⁴², wyłożył nauczycielowi swoją umiejętność i znikł w tłumie.

Ta nauka trwała tak długo, że Marcinek o mało się nie zdrzemnął. Wodził sennymi oczyma po ścianach, z których tu i ówdzie wapno płatami obleciało, rozpatrywał wiszące obok drzwi wizerunki nosorożców i strusiów, wreszcie trzy grube szlaki błota między drzwiami i pierwszą ławką... Było mu duszno w okropnym powietrzu izby i nudziło go stękanie dzieci wydających przed nauczycielem alfabet rosyjski. Jednak mimo nieuwagi i roztargnienia, jakie go ogarnęło, spostrzegł przecież, że i pan Wiechowski nudzi się porządnie. Na szczęście w sąsiednim mieszkaniu nauczycielskim wybiła godzina jedenasta. Profesor przerwał egzaminowanie, zeszedł z katedry i rzekł po polsku:

– Teraz sobie zaśpiewamy jedną śliczną pieśń po rusku, nabożną. Będziecie śpiewać po mnie i tak samo jak ja. Dziewuchy cienko, chłopaki grubiej. No... a słuchaj przecie jedno z drugim – uchem, nie brzuchem!

Przymknął oczy, rozwarł usta i, wybijając takt palcem, jął śpiewać:

*Kol sławien nasz, Gospod' w Sijonie*⁴³...

Z nauczycielem śpiewał Michcik, ryczał coś Piątek i usiłowało naśladować melodię kilkoro dzieci, widać muzykalniejszych. Reszta śpiewała także. Gdy jednak melodia była poważna, a w tamtej okolicy lud śpiewa tylko na nutę żywego *wywijasa*, więc dzieci wpadły zaraz na jedyny uroczysty motyw śpiewu, do którego w kościele ucho przyuczyły, i poczęły niesfornymi głosami wrzeszczeć:

³⁹ *szpagat* – sznurek. [przypis edytorski]

⁴⁰ *pietuch* (ros.) – kogut. [przypis edytorski]

⁴¹ *Warfołomiej* (ros.) – Bartłomiej. [przypis edytorski]

⁴² *Wikientij* (ros.) – Wincenty. [przypis edytorski]

⁴³ *Kol sławien (...)* w *Sijonie* (ros.) – Jak wielki jest nasz Pan w Syjonie; początek prawosławnej pieśni kościelnej. [przypis edytorski]

Święty Boże, święty mocny,
święty a nieśmiertelny⁴⁴...

Kilkakrotnie pan Wiechowski musiał przerywać i zaczynać od początku, gdyż melodia *Święty Boże* zaczynała brać górę nad *Kol sławien*. Chodziło tam zapewne nie o nauczenie dzieci śpiewu, lecz o wbicie, wciśnięcie w ucho pieśni cerkiewnej. Nauczyciel zmuszony był zwyciężyć chłopską melodię, pociągnąć za swoją całą ogół dzieci i wrzyczeć ją w ich pamięć. Śpiewał tedy coraz głośniej. Marcinek z najwyższym zdumieniem patrzył na to całe widowisko. Grdyka nauczyciela pracowała teraz forsownie, twarz jego z mocno czerwonej stała się aż brunatną. Żyły na czole nabrzmiały mu jak powrózki, czupryna spadała na oczy. Z zamkniętymi powiekami, a usty otwartymi jak czeluść, wywijając pięścią, jakby bił w kark niewidzialnego przeciwnika, nauczyciel istotnie przekrzyczał cały chór głosów dziecięcych i ze wszystkiego tchu, wniebogłosy śpiewał pieśń:

Kol sławien nasz Gospod' w Sijonie...

⁴⁴ *Święty Boże* (...) – początek tzw. suplikacji, polskiej pieśni kościelnej, śpiewanej w czasie niesporów [przypis edytorski]

II

W ciągu dwumiesięcznej bytności w szkole Marcinek „zdumiewające uczynił w naukach postępy”.

Tak donosiła listownie rodzicom chłopca pani nauczycielowa.

W istocie Marcinek umiał już czytać (rzecz prosta – po rosyjsku), pisać dyktanda, robić *zadaczki*⁴⁵ na cztery działania i począł nawet ćwiczyć się w obu rozbiorach: etymologicznym i syntaktycznym⁴⁶.

Pan Wiechowski szczególniejszą uwagę zwracał na owe rozbiory. Codziennie o godzinie drugiej po południu rozpoczynał z Marcinkiem lekcję. Chłopiec czytał jakiś urywek, później opowiadał treść tego, co przeczytał, w sposób tak śmieszny i tak zabawnie barbarzyńskimi wyrazami, że samego profesora rozweselała ta nauka.

Po *czytaniu* szły zaraz owe *rozbiory*, które gdyby mogły być do czegokolwiek przyrównane, to chyba do upartego strugania mokrej osiczyny tępym kozikiem.

Istotną trudność stanowiła dla małego Borowicza – arytmetyka. Chłopczyna pojmował wcale dobrze, choć niezbyt lotnie, ale kombinowanie jednoczesne arytmetycznego *kałkułu*⁴⁷ i wdzieranie się przemocą do tajemnic mowy rosyjskiej – było ciężarem zanadto wielkim na jego siły.

W chwili kiedy zaczynał rzecz całą rozumieć, kiedy nawet uderzała go i cieszyła oczywistość rachunku, wszystko mąciły – nazwy. Zamiast porwania umysłu chłopca zrozumiałym wykładem działań arytmetycznych, zamiast ukazania mu samej rzeczy arytmetycznej, o którą w nauce arytmetyki na pozór chodziło, pan Wiechowski całą usilność zmuszony był w to wkładać, żeby nie w umysł, lecz w pamięć ucznia wrazić nazwy rozmaitych przedmiotów. Pierwsze kształcenie inteligencji, ta piękna walka, to szacowne widowisko, ten zaiste wzniosły akt: uczenie się dziecka, opanowywanie pojęć nieznanymi przez umysł, który to czyni raz pierwszy – były w Owczarach walką niezmierną, a często rzetelną i, co najgorsza, bezcelowo zadaną męczarnią.

Jeżeli mały Borowicz przypadkowo stracił wątek rozumowania, wówczas machinalnie powtarzał za pedagogiem i nazwy, i kombinacje, i formuły. Nagłony pytaniami, czy rozumie, czy pamięta, czy wie dobrze – odpowiadał twierdząco, a na zagadnienia bezpośrednie odpowiadał zgadując.

Trafiały się dnie, że lekcje arytmetyki były dla niego od *a* do *z* niezrozumiałymi. Wtedy owiewał go strach idący z półświadomego przeświadczenia, że kłamie, że nie uczy się chętnie, że umyślnie martwi rodziców, że nie kocha ich wcale... Wówczas pot zimny występował mu na czoło, a mózg oblepiała jakby skorupa zeschniętego ichtu.

Nauczyciel oszedł już był daleko, mówił o czym innym, zapytywał o co innego, a Marcinek, przestępując z nogi na nogę i ściskając kolana, wysiłkiem gonił jakąś *sfaję*⁴⁸, która w poprzek drogi jego rozumowania uwalila się jak góra. Mózg jego nie był w stanie wykonywać dwu prac na raz, toteż myślenie arytmetyczne musiało zejść na plan drugi ustępując miejsca ciągłym zapytaniom o znaczenie wyrazów. Specjalny kunszt stanowiło dyktando rosyjskie. Pan Wiechowski codziennie Marcinkowi powtarzał, że uczeń, który by na stronicy dyktanda zrobił trzy błędy, nie będzie przyjęty do klasy wstępnej. Kandydat do owej klasy zaprzysiął sobie w duszy, że nie popełni trzech błędów na stronicy dyktanda. Usiłował nie robić ich wcale – z małym jednak skutkiem. Głowa mu od myślenia pękała, czy w danym wypadku należy pisać *jat'* czy *je*⁴⁹, pamięć robiła ciężko i bezmyślnie, a ponieważ

⁴⁵ *zadaczki* (ros.) – zadania. [przypis edytorski]

⁴⁶ *rozbiór etymologiczny i syntaktyczny* – analiza wyrazów pod względem ich pochodzenia i funkcji w zdaniu. [przypis edytorski]

⁴⁷ *kałkuł* (z łac.) – rachunek. [przypis edytorski]

⁴⁸ *sfaja* (ros.) – kłoda. [przypis edytorski]

⁴⁹ *jat', je* (ros.) – litery alfabetu rosyjskiego. [przypis edytorski]

pedagog nie mógł wskazać dostatecznych zasad pisania bez poprzedniego wyłożenia gramatyki, więc biedny Marcin umieszczał na stronicy po trzydzieści, czterdzieści i więcej monstrualnych błędów. Na pamięć uczył się gramatyki rosyjskiej i wierszy. Owo kucie wierszy miało miejsce zawsze przed południem.

Rzeczywiście największe postępy Marcinek zrobił w katechizmie ks. Putiatyckiego i w kaligrafii. Można go było przebudzić z twardego snu o północy i zapytać: – „Co za naukę stąd brać mamy, że Pan Bóg jest dobrym i sprawiedliwym sędzią?” – a odpowiedziałby był jednym tchem, bez namysłu i wahania: „Stąd, że Pan Bóg jest sprawiedliwym sędzią, brać mamy tę naukę...” itd.

W kaligrafii lubił się znowu ćwiczyć na własną rękę. Zastępowała mu ona poniekąd rozrywki fizyczne, spacer i hasanie po dalekich miejscach. Nauczyciel zastawał go niejednokrotnie bazgrzącego z niezmiernym entuzjazmem litery ogromne i koślawe, już to kredą na tablicy, już piórem na starych kajetach. Zarówno pierwszy jak drugi sposób ćwiczenia się w tyle szlachetnej i tak niezbędnej umiejętności pobudzał Marcinka do wywieszania języka i ciągnięcia nosem. Z czasem bazgranie w kajetach wzbronione mu zostało ze względu na to, że przy spełnianiu tej czynności obydwie jego ręce, mankiety kurtki i koszuli, a niejednokrotnie i koniec nosa, były unurzane w atramencie i powodowały zwiększanie się ekspensu⁵⁰ nauczycielskiego mydła, co w umowie z rodzicami Marcinka przewidziane nie zostało. Nie pozwalano mu również bawić się z chłopakami wiejskimi ze względu na tzw. dobre wychowanie. Siedział tedy ciągle w pokoju państwa Wiechowskich i kształcił swój umysł. Sam „pan” nauczał w izbie szkolnej albo był poza domem, żona jego wrzeszczała na dziewczkę służebną w kuchni, a mała Józia ćwiczyła się zazwyczaj w gniecieniu klusek, zwanych *paluszkami*, albo nawet w obieraniu kartofli. Marcinek siedział na kanapce pod oknem i mruzczał. Kiedy go jednak gramatyka do cna znudziła, wtedy mruzcząc obłudnie, gapił się na świat przez szyby.

Okna wychodziły na pola. Te pola były równe jak stół, gdyż tam kończyły się już wzgórza i lasy. Głęboki śnieg leżał ciężką warstwą na całym widnokręgu. Nigdzie wsi, nigdzie nawet samotnej chaty nie było widać na owej płaszczynie. W odległości mniej więcej trzech wiorst⁵¹ czerniał szereg drzew bezlistnych i szarzały jakieś zarośla. Był tam rozległy staw okryty trzcinami, ale i on o tej porze przystał do płaszczyny i dopasował się do równiny śniegowej. W czasie odwilży grzbiety zagonów przezierały spod śniegu. Ten widok był jedynym urozmaiceniem i rozrywką w życiu Marcinka. Odwilże zdarzały się nieczęsto, a następowały po nich zadyмки i mrozy. Przestrzenie znowu tężały i powlekały się martwością. Dla żywego chłopca było coś bezdennie smutnego w tym obcym krajobrazie. Widok monotonnej płaszczyny dziwnie się jednoczył z nudą siedzącą między kartkami gramatyki rosyjskiej. Ani tego krajobrazu, ani misteriów gramatycznych nie mógł objąć i przyswoić sobie. Gdyby go zapytano, co to jest, jak się nazywa owa spokojna, nudna przestrzeń, odrzekłby bez wahania, że jest to *imia suszczestwitielnoje*.

Przez całe dwa miesiące żadne z rodziców nie odwiedzało Marcinka. Postanowiono go zahartować, włożyć w rygor i nie *rozmażając* wizytami. Raz jeden pani Wiechowska wyprowadziła Borowicza i Józję na spacer. Poszli za wieś drogą urotowaną w głębokim śniegu aż na górę okrytą starym lasem. Na skraju tego lasu sterczały oddzielnie duże świerki, które wpadały w oko ze znacznej nawet odległości. Dzień był śliczny, mroźny; w czystym powietrzu widać było bardzo daleką okolicę. Stanąwszy przy owych samotnych świerkach zdyszany Marcinek rzucił okiem w stronę południową i zobaczył górę, u której stóp stały Gawronki, gdzie się urodził i wychował. Ciemnobłękitnym kolorem znaczyły się po niej zwarte zarośla jałowcu na tle jednolitej powłoki śniegu. Wydatny garb szczytu dokładnie sterczał na niebie różowiejącym z zachodu. Nagle chłopiec głośno i serdecznie zapłakał.

Długie, opryskliwe, pełne niepojętych wyrazów kazanie nauczycielki uwieńczyło tę jedyną wycieczkę Marcina.

⁵⁰ *ekspens* (z łac.) – koszt. [przypis edytorski]

⁵¹ *wiorsta* (z ros.) – daw. rosyjska miara długości, równa 1066 m. [przypis edytorski]

W pierwszych dniach marca pan Wiechowski, powróciwszy z sąsiedniego miasteczka, przywiózł wiadomość, która, rzecz można, zatrzęsała węglami budynku szkolnego. Wszedł do pokoju z omarzniętymi wąsami i nie strzepnąwszy nawet śniegu z butów powiedział:

– Dyrektor przyjeżdża w tym tygodniu!

Głos jego miał ton tak szczególny i przerażający, że wszyscy obecni zadrżeli, nie wyłączając Marcina, Józki i Małgosi, którzy wcale zrozumieć nie mogli, co by właściwie to zdanie mogło znaczyć.

Pani Wiechowska zbladła i poruszyła się na krześle. Jej duże, tłuste wargi drgnęły i ręce bezwładnie na stół opadły.

– Kto ci mówi? – zapytała głosem zdławionym.

– No, Pałyszewski – któż miał mówić? – odrzekł nauczyciel zdejmując szalik ze szyi.

Od tej chwili zapanowała w całym domu wielka trwoga i milczenie.

Małgosia, nie wiedząc dlaczego, chodziła na palcach, Józka całymi godzinami płakała rzewnie po kątach, a Marcinek wyczekiwał z przerażeniem i nie bez pewnej ciekawości jakichś zjawisk nadprzyrodzonych.

Profesor po całych prawie dniach trzymał dzieci wiejskie w szkole, uczył je sposobem zwanym na skoro⁵² odpowiedzi na przywitania: – „*zdorowo rebiata*⁵³!” – wszystkich śpiewu chóralnego *Kol sławien*, a Piątka i Wójcika ćwiczył w sztuce wyliczania członków panującej rodziny carskiej. Wpajaniu tych umiejętności towarzyszyło zdwojone rżnięcie dyscypliną.

Marcinek skulony przy swym oknie słyszał co chwila płacz wrzaskliwy, błaganie nadaremne i zaraz potem stereotypowe i nieodwołalne:

– Uch, nie będę, nie będę! Póki życia, nie będę! uch, panie, nie będę, nie będę!...

Wieczorami, nieraz do późna, pan Wiechowski przygotowywał dzienniki szkolne i wykazy, stawiał stopnie uczniom i w sposób niewymownie kaligraficzny pisał tak zwane *wiedomości*⁵⁴. Oczy mu się zaczerwieniły, wąsy jeszcze bardziej obwisły, policzki wpadły i grdyka była w ciągłym ruchu od nieustannego przelykania śliny. Na wsi rozeszła się głucha pogłoska: naczelnik przyjedzie! Na tle tej wieści wyrastały dziwne domysły, prawie klechdy.

Wszelkie baśnie zносиła do budynku szkolnego na powrót Małgosia i szeptała je do ucha Borowiczowi i Józki, budząc w nich trwogę coraz okropniejszą.

W stancji szkolnej zaprowadzono radykalny porządek: zeskrobano rydlem z podłogi uszkle błoto i wyszorowano ją należycie, zmieciono kurze, otrzepano i wytarto popstrzone wizerunki żyraf i słoni, oraz mapę Rosji i globusik reprezentujący na górnym gzymsie szafy umiejętności odległe, wysokie i niedostępne.

Z sieni wyjechała do obórki beczka z kapustą, nie mniej jak cała zagrodka i umieszczone w niej cielę. Kupa nawozu została okryta gałęziami świerczyny.

Sam pedagog przyniósł z miasteczka dziesięć butelek najlepszego warszawskiego piwa i jedną krajowego portera, pudełko sardynek i cały stos bułek.

Pani Wiechowska upiekła na rożnie zajęcia i pieczeń wołową, niewymownie kruchą, które to przysmaki miały być podane dyrektorowi na zimno, rozumie się, wraz ze słoikami konfitur, marynowanych rydzyków, korniszonów itd. Całe to przyjęcie nauczycielowa zgotowała nie mniej pilnie, jak on przysposabiał szkołę. Mogło się być wydawać, że tajemniczy dyrektor przyjeżdża po to, żeby z równą ścisłością zbadać i skontrolować smak zajęczego combra, jak postępy chłopaków wiejskich w *dukaniu*.

W przeddzień fatalnego dnia mieszkanie, kuchnia nauczycielska i izba szkolna były obrazem zupełnego popłochu. Wszyscy biegali z oczyma szeroko rozwartymi i spełniali najzwyczajniejsze czynności w niewymownym naprężeniu nerwów. W nocy prawie nikt nie spał, a od świtu znowu

⁵² *na skoro* (ros.) – byle prędzej. [przypis edytorski]

⁵³ *zdorowo rebiata* (ros.) – jak się macie, dzieci. [przypis edytorski]

⁵⁴ *wiedomości* (ros.) – sprawozdania. [przypis edytorski]

wybuchł w całym domu paroksyzm biegania, szeptania z zaschniętym gardłem i wytrzeszczonymi oczyma. Miał nadejść posłaniec od Pałyszewskiego, nauczyciela szkoły w Dębicach (wsi o trzy mile odległej), u którego wizyta dyrektorska pierwiej niż w Owczarach wypaść miała. Zanimby dyrektor przejechał trzy mile gościńcem, szybkobiegacz zdążając wprost przez pola miał wcześniej o jaką godzinę stanąć w szkole Wiechowskiego. Już od samego świtu nauczyciel wyglądał co moment oknem, przy którym zazwyczaj uczył się Marcinek. Pokój mieszkalny był uporządkowany, łóżka nakryte białymi kapami. W kąciku za jednym z nich stały butelki z piwem, w szafie gotowe pieczone i całe przyjęcie. Gdy dzieci zaczęły ściągać się do szkoły i nauczyciel zmuszony był opuścić punkt obserwacyjny, wtedy zalecił Marcinkowi, ażeby on usiadł na tym miejscu i nie spuszczał oka z równiny. Mały Borowicz sumiennie spełnił ten obowiązek. Twarz przysunął do samego szkła, tarł je co chwila, gdy zachodziło parą oddechu, i wytrzeszczał tak oczy, że mu się aż napełniały łzami. Około godziny dziewiątej ukazał się na widnokręgu punkcik ruchomy. Obserwator przez czas długi śledził go wzrokiem z gwałtownym biciem serca. Nareszcie, gdy mógł już dojrzeć chłopca w żółtym kożuchu, szerokimi krokami idącego po grzbietach zagonów, wstał z krzesła. Była to jego chwila. Czuł się panem położenia trzymając w rękę wiadomość tak stanowczą. Wolnym krokiem zbliżył się do kuchni i w sposób lapidarny, podniesionym głosem zawołał:

– Małgośka, *rypaj* powiedziec panu, że... posłaniec. On tam już będzie wiedział, co to znaczy.

Małgosia wiedziała również, co w takich wypadkach czynić należy. Rzuciła się do sieni, otwarła drzwi do izby szkolnej i z okropnym wrzaskiem dała znać:

– Panie, posłaniec!

Wiechowski wszedł natychmiast do swego mieszkania i zaczął wdziawać na się odświętne ubranie: szerokie spodnie czarne, kamaszki na wysokich obcasikach i z wystrzępionymi gumami, bardzo głęboko wyciętą kamizelkę i za duży zakiet, wszystko nabyte przed laty, czasu bytności w grodzie gubernialnym, u pewnego składnika *trochę przechodzowanej*⁵⁵ tandety.

Marcinek wsunął się do pokoju i lęklwym głosem rzekł do nauczyciela:

– O, proszę pana, tam idzie...

– Bardzo dobrze, idź teraz, mój kochany, i schowaj się w kuchni razem z Józją. Niech ręka boska broni, żeby was dyrektor zobaczył!

Wychodząc z pokoju Marcinek obejrzał się na *belfra*⁵⁶, który w owej chwili stał przed jednym z obrazów religijnych. Twarz nauczyciela była biała jak papier. Głowę miał schyloną, oczy przymknięte i szeptał półgłosem:

– Panie Jezu Chryste, dopomóżże mi też... Panie Jezu miłosierny... Zbawicielu... Zbawicielu!

...

W owej chwili wbiegła do izby pani Marcjanna i potracając Borowicza wołała:

– Idzie! idzie!...

Pan Wiechowski wyszedł do szkoły, a tymczasem w stancji czyniono przygotowania ostateczne: okryto stół serwetą, nastawiono samowar i wycierano talerze, szklanki, noże i powyłamywane widelce.

Marcinek wynalazł już był dla siebie i towarzyszeki bezpieczne schronienie za drzwiami między ścianą i ogromną szafarnią, która zajmowała połowę kuchenki. Wtuleni w najciemniejszy kąt, oddawali się obydwójce z całą gorliwością co najmniej przez jakie półtorej godziny misji ukrycia swych osób. Nakazywali sobie wzajem nieustannie milczenie, przysłuchiwali się z biciem serc każdemu szelestowi i tylko kiedy niekiedy ważyli się półszepem wypowiadać jakieś niewyraźne sylaby.

Dopiero po upływie dwu godzin wbiegła raptem ze dworu nauczycielka, a za nią Małgosia. Ta ostatnia w okropnej trwodze powtarzała raz za razem:

⁵⁵ *przechodzowany* – przechodzony; mocno zniszczony wskutek długiego używania. [przypis edytorski]

⁵⁶ *belfer* (daw.) – pomocnik nauczyciela w żydowskiej szkole (*chederze*); dziś pot. iron. a. żart.: nauczyciel. [przypis edytorski]

– Jedzie naczelnik! Jedzie naczelnik! W skórzanej budzie jedzie! Oj, będzie tu teraz dopiero, będzie, mój Jezus kochany, drogi, oj, będzie tu, będzie!

Ciekawość przemogła wszelkie obawy: Józia i Marcin wyszli ze swej kryjówki, zbliżyli się na palcach do drzwi prowadzących do sieni i zaczęli kolejno wyglądać przez szczeliny i dziurę od klucza. Ujrzeni tył budy karecianej na saniach, ogromne futro pana wchodzącego do szkoły i plecy Wiechowskiego, które się nieustannie schylały.

Po chwili drzwi do izby szkolnej zamknięto. Wtedy z uczuciem gorzkiego rozczarowania powrócili do swej kryjówki za szafarnią i drżeli tam ze strachu.

Tymczasem do stancji szkolnej wkroczył kierownik dyrekcji naukowej, obejmującej trzy gubernie, pan Piotr Nikołajewicz Jaczmieniew, i przede wszystkim zrzucił z ramion olbrzymie futro. Spostrzegłszy, że w tej izbie jest aż nadto ciepło, zdjął także palto i został w mundurze granatowym ze srebrnymi guzikami.

Był to wysoki i przygarbiony nieco człowiek, lat czterdziestu paru, o twarzy dużej, nieco rozlanej i obwisłej, którą otaczał rzadki zarost czarny. Z ust dyrektora Jaczmieniewa prawie nie schodził uśmiech łagodny i dobrotliwy. Zamglone jego oczy spoglądały przyjacielsko i życzliwie.

– Wszystko jak najlepiej, jaśnie wielmożny panie... – odpowiedział Wiechowski, uczuwając w sercu pewien promyczek otuchy na widok łaskawości dyrektora.

– Ależ zima u was tęga! Dużo się człowiek nakołatał po świętej Rusi, a takiego zimna w marcu rzadko doświadczał. Ja w karecie, w futrze, w palcie, a i tak czuję ten, wiesz pan, dreszczyk...

– A może by... – szepnął Wiechowski, mając dreszczyk stokroć bardziej przejmujący aż w piętach.

Dyrektor udał, że wcale nie słyszy tego, co powiedział Wiechowski. Odwrócił się do dzieci, które siedziały nieruchomo, ze zdumienia wytrzeszczając oczy i w przeważnej⁵⁷ większości szeroko rozwarłszy usta.

– Jak się macie, dziatki? – rzekł łaskawie – witam was.

Stojąc za plecami Jaczmieniewa, Wiechowski dawał znaki oczami, rękami i całym korpusem, ale na próżno. Nikt nie odpowiadał na powitanie zwierzchnika. Dopiero po chwili Michcik nagłony rozpaczliwymi spojrzeniami i gestami swego mistrza zerwał się i zawołał:

– *Zdrowia żęłajem Waszemu Wysokorodiju*⁵⁸!

Dyrektor mlasnął ustami i wzniosł brwi tak zagadkowo, że Wiechowskiemu mróz predefilował po grzbiecie.

– Panie nauczycielu, bądź pan łaskaw wywołać któregoś ze swych uczniów – rzekł wizytator po chwili – chciałbym usłyszeć, jak też czytają.

– Może jaśnie wielmożny pan sam raczy rozkazać któremu z nich – rzekł uprzejmie Wiechowski podając dziennik a jednocześnie całą duszą błagając Boga, ażeby jaśnie wielmożnemu panu nie strzelił czasami do głowy pomysł zgodzenia się na tę propozycję. Jaczmieniew z grzecznym uśmiechem odsunął dziennik mówiąc:

– Nie, nie... proszę bardzo.

Wiechowski udał przez chwilę niby wahanie się, kogo by wyrwać, aż wreszcie wskazał palcem Michcika, którego umyślnie posadził w czwartej ławie.

Dyrektor wstał tymczasem na katedrę, usiadł i podparłszy pięścią brodę patrzył uważnie spod przymkniętych powiek na ten tłum dzieci.

Michcik wstał, z dystynkcją ujął Paulsona trzema *palicami* i dał koncert czytania. Przestrach jak płyta marmurowa usunął się na chwilę z piersi Wiechowskiego. Michcik czytał świetnie,

⁵⁷ *przeważny* – dziś: przeważający. [przypis edytorski]

⁵⁸ *zdrowia żęłajem Waszemu Wysokorodiju* (ros.) – życzymy zdrowia Waszej Wielmożności. [przypis edytorski]

płynnie, głośno. Dyrektor przysposobił sobie dłonią ucho do łatwiejszego chwytania dźwięków, z zadowoleniem reparaował⁵⁹ akcenty i kiwał głową potakująco.

– Czy możesz mi opowiedzieć *swoimi słowami* to, co przeczytałeś? – zapytał po chwili.

Chłopiec złożył książkę, odsunął ją na znak, że będzie czerpał opowiadanie tylko z pamięci, i zaczął wyluszczać po rosyjsku treść bajki odczytanej.

Jaczmieniew ciągle się uśmiechał. W najciekawszym punkcie opowieści podniósł w górę rękę z gestem charakterystycznym, jakiego używa nauczyciel, pewny, że mu jego miły uczeń trafnie odpowie – rzucił szybko zapytanie:

– Siedem razy dziewięć?

– *Sześćdziesiąt tri*⁶⁰! – z tryumfem zawołał Michcik.

– Wyśmienicie, wyśmienicie – rzekł głośno dyrektor, a schylając się do Wiechowskiego, szepnął półgłosem: – Szanowny panie nauczycielu, temu chłopcu w końcu roku... pojmuje pan?... najpierwszą...

Pedagog schylił głowę i rozdał nieco nozdrza na znak nie tylko zgody, ale porozumienia się co do joty i przypominał w owej chwili kelnera z wykwintnej restauracji, który zgaduje życzenia gościa szcudrośliwego. Był już prawie pewien sytuacji i, jak czyni zazwyczaj człowiek szczęśliwy, zaczął kusić fortunę.

– Może jaśnie wielmożny pan zechce jeszcze Michcika... coś z arytmetyki, z gramatyki?

– Czy tak? Bardzo, bardzo jestem... Ale trzeba już temu dać spokój. Proszę, wyrwij pan kogoś jeszcze...

– Piątek! – zawołał nauczyciel nieco zbity z tropu.

– Jeść! – wrzasnął Piątek, pewny, że to chodzi o tak zwaną *pieriekliczkę*⁶¹.

– Czytaj! – zgrzytnął na niego Wiechowski.

Czytanie Piątka mniej już zachwyciło dyrektora. Nie poprawiał go wcale, tylko uśmiechał się na poły dobrotliwie, na poły ironicznie. Zanim chłopiec przemordował trzy wiersze, rzekł do nauczyciela:

– Proszę jeszcze kogoś wywołać...

W czasie nauczyciela słowa powyższe sprawiły szum gwałtowny, który rozwiął wszystkie jego myśli jak wichurę plewy. Kilku jeszcze chłopców umiało sylabizować i to po parę liter za ledwie. Na chybił trafił jednak Wiechowski zawołał:

– Gulka *Matwiej*⁶²!

Gulka powstał, wziął wskazówkę w rękę i cichutko wyszeptał kilka nazw liter moskiewskich. Gdy dyrektor przynaglać go zaczął do głośniejszego mówienia, chłopak zląkł się, usiadł na miejscu, a koniec końców włożył pod ławę. Wówczas Jaczmieniew zstąpił z katedry i wszedłszy między ławki po kolei sam egzaminował dzieci. Trwało to bardzo długo. Nagle Wiechowski, miotający się w dreszczach przerażenia, usłyszał, że dyrektor mówi najczystszą polszczyzną.

– No, a kto z was, dzieci, umie czytać po polsku, no, kto umie?

Kilka głosów odezwało się w rozmaitych kątach izby szkolnej.

– Zobaczymy, zaraz zobaczymy... Czytaj! – rozkazał pierwszej osobie z brzoza.

Dziewczyna owinięta w zapaski wydobyła *Drugą książeczkę* Promyka⁶³ i zaczęła dosyć płynnie czytać.

– A kto ciebie nauczył czytać po polsku? – zagadnął ją dyrektor.

⁵⁹ *reparować* (z łac.) – tu: przyjmować. [przypis edytorski]

⁶⁰ *sześćdziesiąt tri* (ros.) – sześćdziesiąt trzy. [przypis edytorski]

⁶¹ *pieriekliczka* (ros.) – odczytywanie listy obecności. [przypis edytorski]

⁶² *Matwiej* (ros.) – Mateusz. [przypis edytorski]

⁶³ *wydobyła „Drugą książeczkę” Promyka – Druga książeczka do wprawy w czytaniu*, opracowana dla użytku dzieci wiejskich przez autora elementarzy i propagatora oświaty ludowej Konrada Prószyńskiego (1851–1908), publikującego pod pseud. Kazimierz Promyk. [przypis edytorski]

– *Stryjna* mnie nauczyli... – szepnęła.

– *Stryjna*, co to jest *stryjna*, panie nauczycielu? – zwrócił się do Wiechowskiego.

– A ciebie kto nauczył czytać po polsku? – spytał małego chłopca, nie czekając na odpowiedź Wiechowskiego.

– Pani nauczycielowa pokazała *nom* z Kaśką *durkowane*...

– Pani nauczycielowa? *Wot kak*⁶⁴! – szepnął uśmiechając się jadownicie.

Wysłuchawszy jeszcze kilku chłopców i powziąwszy wiadomość, że im litery nierosyjskie wskazywał sam nauczyciel, dyrektor cofnął się spomiędzy ławek i rzekł do Wiechowskiego:

– Czy ksiądz jaki przychodzi do szkoły?

– Nie. U nas we wsi nie ma kościoła; dopiero w miasteczku Parchatkowicach, o dziesięć wiorst stąd, jest kościół i dwu księży.

– Tak, tak... No, panie Wiechowski – rzekł znienacka Jaczmieniew – bardzo, bardzo jest źle. Na takie stado dzieci – dwu czyta, a pozostali nic nie umieją. Źle mówię zresztą, bo dosyć znaczna ilość czyta po polsku, a w stosunku do czytających ruskie to ilość wprost kolosalna. I mnie to nawet nie dziwi. Pan, jako Polak i katolik, prowadzisz polską propagandę.

– Propagandę... polską? – jęknął Wiechowski, wcale nie będąc w stanie zrozumieć, co by mogły oznaczać te dwa wyrazy, ale dobrze pojmując to jedno, że kryje się w nich słowo: dymisja.

– Tak... polską propagandę! – zawołał Jaczmieniew krzykliwie. – To może się panu i innym uśmiechać, ale nie takie jest, jak wielokrotnie pisałem w cyrkularzach⁶⁵, życzenie władzy. Pan jesteś tutaj urzędnikiem i źle pan spełniasz swój urząd. Mało dzieci czyta... Nie widzę rezultatów.

– Michcik – szepnął Wiechowski.

– Co Michcik? Byłeś pan kiedy w teatrze, widziałeś pan głównego tenora i statystów? Otóż cała szkoła są to statyści, a ci dwaj – to główni śpiewacy, okazy... Stara to sztuczka, na której ja się znam niezłe. Powtarza się to przecie w każdej niemal szkole i jest śmiertelnie nudne... Ja nie jestem z pana zadowolony, panie Wiechowski...

W nauczycielu zatrzęsało się serce i wewnętrznosci. Nie widział już wcale osoby dyrektora i jak dziecko zwracał się ku szczelinie we drzwiach prowadzących do jego mieszkania, przez którą podpatrywała i podsłuchiwała bieg wizyty pani Marcjanna. W mózgu jego biegały jeszcze niektóre myśli jak strzykania bólu. Jedną z nich, ostatni środek ratunku, powiedział do Jaczmieniewa:

– Może jaśnie wielmożny pan dyrektor raczy wejść do mnie...

– Nie, ja nie mam czasu – i żegnam... – rzekł naczelnik szorstko, wdzwiewając palto z pośpiechem.

– Książki, wykazy prowadzę starannie... – rzekł jeszcze Wiechowski.

– Książki! – zawołał dyrektor szyderczo. – Sądysz pan tedy, że w zamian za pensję, mieszkanie i stanowisko nie trzeba nawet prowadzić ksiąg, a jeżeli się pisze w nich cokolwiek, to jest to już tytuł do nagrody? Cóż zresztą... książki? Ja mam przecie pańskie wykazy. Figurują tam cyfry czytających, których ja tu wcale nie znajduję.

Ostatnie słowa wypowiedział zarzucając futro na ramiona.

– Żegnam was, dzieci, uczcie się pilnie, starajcie się!... – rzekł do zebranych uczniów. Potem, wychodząc, odezwał się do nauczyciela:

– Moje uszanowanie...

Wiechowski nie był w stanie ani wyprowadzić go, ani wyjść za nim. Stał oparty o stolik katedry i patrzył na drzwi wchodowe⁶⁶. Mróz śmiertelny obejmował jego ciało i wstrzymywał krew w żyłach.

⁶⁴ *wot kak* (ros.) – ot co. [przypis edytorski]

⁶⁵ *cyrkularz* (z łac.) – rozporządzenie. [przypis edytorski]

⁶⁶ *wchodowy* – dziś: wejściowy. [przypis edytorski]

„Wszystko się skończyło... – myślał pan Ferdynand – masz teraz... Cóż tu robić, gdzie się tu wynieść, z czegoż tu żyć? Utrzymam się to z pisania próśb do sądu? Przecież tam już to samo czterech robi...”

Skinął na dzieci, że mogą już iść sobie, otworzył drzwi do swego mieszkania i obejrzał tę izbę jednym spojrzeniem. Nagle rozpacz i żal w potoku łez buchnęły z jego piersi. Przez długi czas szlochał głośno jak dziecko, leżąc pierściami na stole. Gdy podniósł oczy, spostrzegł w kącie szereg butelek z piwem. Skoczył zaraz, chwycił pierwszą z brzegu, wyrwał korek i prawie jednym tchem wypił całą butelkę. Rzucił w kąt pierwszą i wysączył drugą, potem trzecią i czwartą. Pił, nie przestając głośno płakać, i już piątą butelkę odkorkowywał, gdy wtem ktoś mocno zastukał do drzwi. Wiechowski z gniewem otworzył je szeroko i ujrzał przed sobą... znowu Jaczmieniewa w futrze i czapce, który uśmiechał się do niego i wyciągał obie ręce.

– Ot, pomyłka – mówił – ot, głupstwo! Jak łatwo skrzywdzić uczciwego człowieka, ach, jak łatwo! Wiechowski! ja będę o panu pamiętał i podwyższę pensję. Trzeba tylko, żeby więcej czytało... usilności, rozumiesz pan, więcej... A co do śpiewów, to bardzo rad jestem, bardzo, bardzo... I nie zapomnę. Pensję już w następnym miesiącu dostaniesz pan lepszą... No, mnie się śpieszy, więc do widzenia. Proszę nie gniewać się za nieuważne słowa... Usilności tylko, usilności...

Ścisnął przyjaźnie rękę Wiechowskiego i wyszedł z izby. Nauczyciel postępował za nim krok w krok, najpewniejszy, że to, co widzi, słyszy i czego doświadcza, jest snem raptownym po wypiciu tylu butelek Machlejda⁶⁷. Przede drzwiami stała gromada bab, więc je rozsunał i zrobił miejsce dla dyrektora. Usadowił go w karcie, otulił mu nogi pledem, kłaniał się kilkanaście razy, następnie, gdy karetka znikła na skrócie drogi, powrócił do siebie i wciąż trwał w złudzeniu, że śpi coraz mocniej. Z tego obłądu wyrwała go dopiero pani Marcjanna. Wpadła do izby jak kula armatnia i podrygując rzuciła się mężowi na szyję.

– A to szelmowskie chłopstwo! A to nam usługę wyświadczyło! – krzyczała zanosząc się od śmiechu.

– Jaką usługę, co ty pleciesz?

– To ty nic nie wiesz? Ano, przecie baby skargę na ciebie zaniósły.

– Masz ci... jakie baby?

– Gulonka, Pulutowa, Piątkówka, stara Dulębina, Zalesiaczka, no, wszystkie baby...

– Gdzie, jak?

– Ano tak. Jak dyrektor przyjechał, zeszyły się i czekały pode drzwiami całą wsią. Jak wyszedł z sieni, obstały go, skłoniły się i Zalesiaczka wyleciała pierwsza z gębą...

– Czegoż ona chciała?

– No, stul gębę, to ci rozpowiem po kolei, jak i co było. Powiedziała tak... Ażem ścierpła, jak zaczęła mleć tym pyskiem! Powiedziała tak: „Dopraszam się łaski, wielmożny naczelniku, nie chcemy tego nauczyciela, co tu siedzi u nas we wsi”. On jej na to: „Nie chcecie tego nauczyciela, a to dlaczego?” Ona wtedy: „Nie chcemy tego pana Wiechowskiego, bo źle uczy”. „Jak to źle uczy? co wam się nie podoba?” „Nam się – ona powiada – nic nie podoba, co ta on uczy”. „Tj, co ta długo gadać – wtrąciła się zaraz stara Dulębina – wielmożny naczelniku, nie chcemy tego nauczyciela, bo nam uczy dzieci jakichsi śpiewaniów *po rusku*, na książce tylko to samo *po rusku*; cóż to za nauka taka? Dzieciska bez trzy zimy wałęsają się do tej ta szkoły i nie umie się żadne modlić na książce, a jak które umie, to się nie we szkole nauczyło, tylko jedno od drugiego, choć i na błoni za byłem. Nie wstyd to? Katolickiego śpiewania to ich nie ponaucza, tylko jakiesi ta... a nawet gębą nie można wymówić... I jak dzieci – gadała – zaczną we szkole śpiewać nabożnie, to ten nic, tylko się drze sam, a znowu mądrała Michcik za nim i nie dadzą dzieciskom Pana Boga pochwalić. Do czegoż toto podobne? A tu płąć, dawaj na niego osypkę⁶⁸!”. Dyrektor się spytał: „Często też nauczyciel tak po rusku śpiewa

⁶⁷ *Machlejd* – marka piwa; od nazwiska właściciela znanego warszawskiego browaru. [przypis edytorski]

⁶⁸ *osypka* – opłata w zbożu. [przypis edytorski]

z dziećmi?”. „Co dzień śpiewa! – wrzasnęły wszystkie razem. – To się przecie łatwo przekonać. Choćby i jego samego się spytać, przecie się nie może w żywe oczy zaprzeć! Nieraz to nawet ani jednemu na książce nie pokaże, tylko od samego rana wyśpiewują...” – trąkotała Piątkowa. „Tak wy *niedowolne*⁶⁹ panem Wiechowskim – spytał się ich dyrektor – dlatego, że on uczy po rusku?” „A i mamy być dowolne! Dopraszamy się, wielmożny naczelniku, żeby go zabrać, a innego dać, co by po polsku uczył, a nie, to... nam ta szkoła niepotrzebna. Dzieciska się ta same nauczą, jak które chętliwe, i przypowiadki se przeróżne wyczytują z książek, a ten ogłupia do reszty, i pokój. Albo mu zakazać tych śpiewów...” „Dobrze, dobrze” – rzekł dyrektor i poszedł tu do ciebie.

– Chi-cha! – zaśmiał się pan Wiechowski. – Tak to mię oskarżyły! A niechże im też Pan Jezus da zdrowie!... Samem nawet zapomniał dyrektorowi powiedzieć o tym śpiewaniu. Chy... – wrzasnęła nagle, wywijając po stacji jakieś kozackie hołubce. Zziąjany stanął przed żoną i rzekł:

– Marcysiu, wykpiłem się! Podwyższy mi pensję! Jeszcze lepiej stoję niż ten Pałyszewski. Wiesz ty co, żoneczko czarnobrewko, palnijmy sobie to piwko, co go dyrektor pić nie chciał. Okropnie *my* smakuje...

Pani Wiechowska zgodziła się bez trudu i nauczyciel zaczął złopać szklankę po szklance. Sama pomagała mu w tym dosyć skutecznie. Nawet Józia, Marcinek i służąca dostali każde po ćwierć szklanki. Skończywszy z piwem, pan Wiechowski zaczął napierać się o gorzałeczkę. Wkrótce potem Marcinek słysząc w pokoju wrzask okropny uchylił drzwi i zobaczył z przerażeniem, że nauczyciel, odziany tylko w bieliznę, siedzi na stole, trzyma w jednej ręce flaszkę z jarzębinówką, w drugiej duży kieliszek, i wymyśla komuś zapamiętałe.

– Chamy, łajdaki! – wrzeszczał pedagog wytrzeszczając oczy – musicie śpiewać, jak wam każę, i gadać, jak wam każę! Wszystkie bechy⁷⁰ będą czekać *po ruski! Ponimajesz, chołop, mužyczjo?* Sam dyrektor własnym słowem wyraził się, że mi pensję podwyższy, *ponimajesz, chamskoje otrodje?* Bunt chciałyście zrobić? Chi-cha!... *Na, w zuby*⁷¹! – wołał, mierząc w niewidzialnych przeciwników.

Pochyliwszy się zanadto, zleciał ze stołu na sofkę i stoczył się na ziemię. Smaczna jarzębinówka wylała się z przechylonej butelki i długą strugą popłynęła w szparę między deskami. Mały Borowicz ze zgrozą widział potem, jak Małgośka i pani Marcjanna ciągnęły profesora za czuprynę do łóżka i jak tenże profesor, wierzgając nogami i broniąc się pięścią, zapamiętałe wyśpiewywał:

Ach, powstancy kochający
*Udirajut kak zajoncy*⁷²...

Kiedy tak nauczyciel oddawał się radości, zwierzchnik jego przebywał tymczasem łańcuch wzgórz niezbyt wysokich. Gościniec ciął na ukos pochyłość bardzo wydłużonego pagórka, aż do przełęczy. Stamtąd zjeżdżało się na kilkumilową płaszczyznę, pośrodku której znajdował się gród gubernialny, siedziba oświaty ludowej. Z tej strony wzgórz doliny i wyniosłości okryte były czarnymi lasami. Wśród nich bieleły się szerokie polany z długimi smugami wsi chłopskich. Dzień był ciepły, przecudny. W godzinie południowej słońce literalnie topiło swym blaskiem powierzchnię tej całej rozległej okolicy. Ciepłe tchnienia wiały na kraj lecąc od wiosny, która zza gór, zza lasów szła już w tamte strony. Konie ciągnące karety szły pod górę noga za nogą, toteż Jaczmieniew nie czuł wcale, że jedzie. Spuścił szybę karety i wygodnie półleżąc na siedzeniu oddawał się marzeniom. Bardzo dawne i niewymownie miłe mary zlatywały ku niemu na skrzydłach powiewów wiosennych i otaczały go rozkoszną ciżbą.

⁶⁹ *niedowolny* (z ros.) – niezadowolony. [przypis edytorski]

⁷⁰ *bechy* – bachory. [przypis edytorski]

⁷¹ *ponimajesz* (...) *w zuby* (ros.) – rozumiesz, chłopski parobasie (...) rozumiesz, chamskie nasienie (...) Masz w zęby. [przypis edytorski]

⁷² *Ach, powstancy* (...) *zajoncy* – piosenka śpiewana przez żołnierzy rosyjskich ścigających powstańców 1863 r.; *udirajut kak* (ros.) – uciekają jak. [przypis edytorski]

– Góry, góry... – szeptał, spoglądając ze swego okna na daleki widok. Przypomniały mu się młodzieńcze wędrowki w Bawarii, w Tyrolu, we Włoszech i Szwajcarii.

Po ukończeniu studiów na wydziale filologicznym w Moskwie Jaczmieniew, zapalony ludowiec, zdecydował się „iść między naród”, osiąść w szkole wiejskiej. Pragnąc wszakże zdobyć i przyswoić sobie metodę pracy, która by dawała plony jak najobfitsze, odbył wycieczki do Szwecji, Anglii, Niemiec i Szwajcarii i we wszystkich tych krajach pilnie studiował szkolnictwo ludowe. Najlepiej poznał Szwajcarię, z kijem w rękę i tornistrem na plecach wędrując od Jeziora Bodeńskiego⁷³ aż do Lugano⁷⁴ i Genewy. W każdej niemal szkole zapoznawał się z nauczycielem, słuchał wykładów, brał udział w wycieczkach i studiował szczególnie tak zwaną *Primarschule*⁷⁵, gdzie nauczanie rozpoczyna się od wesołych gawęd i zabaw na świeżym powietrzu.

Teraz, jadąc, wspomniawszy sobie pewne małe dziewczątka w ogromnych trzewikach podbitych gwoździem, z wielkim parasolem w rękę idące do szkoły w szarugę i wicher ze swej chaty sterczącej pośród chmur, gdzie tylko koza, karmicielka rodziny, żywność dla siebie wynaleźć zdoła i gdzie człowiek biedniejszy jest stokroć niż koza.

Cóż by dał za to, żeby jeszcze raz w życiu pójść z sześcioletnimi obywatelami wolnego Schwyzerlandu⁷⁶ do lasu, szukać z nimi ukrytych między liśćmi „zwergłów”⁷⁷ w wielkich, spiczastych czapkach, a z ogromnymi brodami... Ach, cóż by dał, ażeby wrócić do tamtej młodości, toczyć długie rozprawy z uczciwymi belframi wiejskich szkółek szwajcarskich, długo w noc z nimi radzić o sposobach zniesienia ciemnoty w „strasznej Rosji” i mieć w piersi prawe, szlachetne serce!...

I nagle dyrektor Jaczmieniew zapłakał...

Ciepły wietrzyk wzmagał się, gdy karetę dosięgła szczytu góry.

– Ach, jakże jestem już stary, jak bardzo stary... – szepnął do siebie Jaczmieniew. – Przeszło, minęło niepowrotnie, rozwiało się niby mgła nad jeziorem. Wczoraj, zda się, człowiek z kijem w rękę łąził po skałach, ażeby się nauczyć, jak najlepiej, najszybciej, najhumanitarniej rozniecać światło wpośród ciemnych mas chłopstwa, a dziś... Nie należy szerzyć oświaty w kosmopolitycznym znaczeniu tego wyrazu, lecz należy szerzyć „oświatę rosyjską”. Na to zdał się cały Pestalozzi⁷⁸... Pragnąc za pomocą zruszczenia tych chłopów polskich istotnie przyczynić się do szybkiego rozwoju Północy na drodze cywilizacji, należałoby to zrobić tak skutecznie, ażeby chłop tutejszy ukochał Rosję, jej prawosławną wiarę, mowę, obyczaj, ażeby za nią gotów był ginąć w wojnie i pracować dla niej w pokoju. Trzeba by więc wydrzeć z korzeniem tutejszy, iście zwierzęcy, konserwatyzm tych chłopów. Trzeba by zburzyć tę odwieczną, swoistą kulturę niby stare domostwo, spalić na stosie wierzenia, przesady, obyczaje i zbudować nowe, nasze, tak szybko, jak się buduje miasta w Ameryce Północnej. Na tym gruncie dopiero można by zacząć wypełnianie marzeń pedagogów szwajcarskich. To, co my robimy, te środki, jakie przedsięwzięjemy...

I cóż by tu można zrobić, co tu właściwie zaprojektować celem wzmocnienia rusyfikacji, tej rusyfikacji nieodzownej i skutecznej?...

Pytanie to wytrysło niespodziewanie z głębi dumań Jaczmieniewa i stanęło przed nim z całą swoją stanowczą wyrazistością niby tajny agent policji ukazujący się zza węgła, kiedy się go najmniej spodziewają.

Kareta znajdowała się na szczycie góry, po której grzbiecie szła droga. Z prawej i lewej strony otwarty był widok rozległy na dwie płaskie doliny. Tu i tam ciągnęły się smugami lasy, pagórki, wielkie białe płaty pól... Daleko, daleko za ostatnimi sinymi borami szarzały lekkie mgły

⁷³ Jezioro Bodeńskie – jezioro podalpejskie na pograniczu Szwajcarii, Austrii i Niemiec. [przypis edytorski]

⁷⁴ Lugano – miasto w południowej Szwajcarii na pograniczu Włoch. [przypis edytorski]

⁷⁵ Primarschule (niem.) – szkoła początkowa. [przypis edytorski]

⁷⁶ Schwyzerland – Szwajcaria. [przypis edytorski]

⁷⁷ zwergl (niem.) – karzełek, krasnoludek. [przypis edytorski]

⁷⁸ Jan Henryk Pestalozzi (1746–1827) – wybitny pedagog szwajcarski, zwolennik powszechnego nauczania i swobodnego rozwijania wrodzonych uzdolnień ucznia. [przypis edytorski]

przesłaniając widnokrąg. Było samo południe. Z kominów chat w ogromnych wsiach szły wszędzie dymy błękitnymi słupami. Był to jedyny ruch w tej niezmiernej przestrzeni. Cała ona leżała w niemym spokoju, jakby spała. Tylko długie pasma dymów zdawały się pisać na białych, martwych kartach polan nikomu nieznane, tajemnicze znaki.

III

Na dolnym korytarzu gimnazjum klasycznego w Klerykowie znajdowało się mnóstwo osób. Byli tam urzędnicy, szlachta, księża, przemysłowcy, a nawet zamożniejsi chłopi. Cały ten tłum stanowił w owej chwili jedną kategorię: rodziców.

Korytarz był długi, wyłożony posadzką z piaskowca i bardzo dobrze przypominał pierwotną swoją fizjonomię: korytarz klasztorny. Wąskie okna wpuszczone były w mury bardzo grube i chłodne; panował tam jeszcze dawny cień i smutek.

Przez zestarzałe, zielonawoniebieskie szyby padały ukradkiem promienie rannego słońca i złościły świeżo wybielone ściany i żółtawą, wydeptaną posadzkę. Z prawej i lewej strony był szereg drzwi prowadzących do sal szkolnych. Drzwi te równie jak okna były poroztwierane⁷⁹, gdyż właśnie świeżo pociągnięto ściany klas na kolor szaroniebieski, z wielkimi lamperiami⁸⁰, i wymalowano podłogi żółtą farbą olejną. Srogi zapach terpentyny i lakierów napełniał cały korytarz.

W przedsionku, za oszklonymi drzwiami spał najspokojniej, już o tak wczesnej godzinie, wysoki i chudy pedel⁸¹, znany dwu generacjom pod pseudonimem „pana Pazura”.

Pomimo że pan Pazur wysłużył dwadzieścia pięć lat na *Kapkazie*⁸² za Mikołaja, a drugie tyle siedział w instytucji z tak forsownym zamiłowaniem uprawiającej mowę rosyjską, nie nauczył się tego języka, zdążył jednak zamienić swój rodowity na gwarę niesłychaną, składającą się z wyrazów zupełnie nowych, których treść ani brzmienie nikomu na szerokim świecie, z wyjątkiem pana Pazura, znanymi nie były.

Sam pan Pazur chętnie zastępował niektóre wyrazy już to ruchami pięści, już tak zwanym *trąbieniem na nosie*, przymykaniem oczu, a nawet wywieszaniem języka.

Od czasu zniesienia *ostanówek po subotach*⁸³, czyli kary cielesnej, stosowanej często, pan Pazur stracił humor i fantazję. Zaczął drzemać i znosić mężnie urągawiska nawet wstępniaków i pierwszaków.

Na drugim krańcu korytarza znajdowała się kancelaria gimnazjalna, do której nieustannie wchodzili przybywający profesorowie. Tłum osób zwiększał się również.

Szmer żywej a przyciszonej rozmowy, przyciszonej z tego na ogół względu, że prowadzona była po polsku w obrębie murów gimnazjum rosyjskiego – wznosił się i nacichał⁸⁴.

W ciżbie osób chodzących wzdłuż korytarza znajdowała się także pani Borowiczowa i Marcinek, kandydat do klasy wstępnej. Kandydat ubrany już był „po męsku”: zdjęto mu nareszcie sznurowane trzewiki i pończochy, odziano w rzeczywiste spodnie, sięgające aż do samych obcasów nowych kamaszków z gumami.

Te spodnie i kamasze były przygotowaniem do munduru gimnazjalnego, stanowiły jak gdyby przedmowę napisaną do dzieła, które jeszcze nawet w brulionie skomponowane nie zostało.

Ażeby przywdziać mundur – należało zdać egzamin. Prośba o zaliczenie Marcinka w poczet uczniów klasy przygotowawczej wraz ze świadectwem ogólnego stanu majątkowego rodziców, szczepienia ospy, metryką etc. – podana została na imię dyrektora o dwa miesiące wcześniej. W danej chwili czekano wyznaczenia terminu egzaminów. Termin taki był właśnie treścią ożywionej rozmowy osób spacerujących.

⁷⁹ *poroztwierane* – dziś popr.: pootwierane. [przypis edytorski]

⁸⁰ *lamperia* (z niem.) – kolorowy pas zdobiący od podłogi do pewnej wysokości płaszczyznę ścian wewnątrz budynku. [przypis edytorski]

⁸¹ *pedel* (z łac.) – woźny w zakładach naukowych. [przypis edytorski]

⁸² *Kapkaz* (gwar.) – Kaukaz. [przypis edytorski]

⁸³ *ostanówki po subotach* (ros. *ostanowki po subbotam*) – odsiadywanie kar z całego tygodnia w sobotę, po zakończeniu lekcji. [przypis edytorski]

⁸⁴ *nacichać* – dziś popr.: przycichać. [przypis edytorski]

Każda jednostka należąca do personelu gimnazjalnego, przesuając się między tłumem, była przedmiotem pilnej i skupionej uwagi, a niejednokrotnie składem zapytań o ten właśnie dzień egzaminów.

Żaden z pedagogów klerykowskich, a tym bardziej żaden z tak zwanych pomocników gospodarzy klas, nie był w możności dać odpowiedzi choć w przybliżeniu prawdopodobnej. Szczególniej zaniepokojonymi owym dniem tajemniczym czuli się obywatele ziemscy i na ogół ludzie z daleka przybyli. Właściwie termin ogłoszony w dziennikach już minął. W dniu wyznaczonym niektóre egzamina⁸⁵ odłożono na później, bez określenia bliżej daty, inne rozrzucono w ten sposób, że malec zdający do klasy wstępnej dziś miał być przesłuchiwany z rosyjskiego czytania, dopiero po upływie tygodnia z arytmetyki, a znowu kiedy indziej z pacierza i katechizmu. Rodzice, czasami o kilkanaście mil przybyli, bez upewnienia się, czy dzieci przyjęte będą, nie mogli odjechać. Stąd powstawały namiętne szeptki i zasięganie informacji.

Pani Borowiczowa miała wszystkiego trzy mile do Gawronek, ale również czuła się w Klerykowie jak na szpilkach.

Żadnego egzaminu Marcin jeszcze nie zdawał; nie było też wcale pewności, czy będzie przyjęty, wobec ogromnego napływu kandydatów. Wszystkie te okoliczności, połączone z obawą, pragnieniem, z niepokojem o dom itd., sprawiały, że matka Marcinka była smutna i zdenerwowana. Dość szybko chodziła po korytarzu prowadząc syna za rękę. Jej stara, niemodna mantylka, wypłowiła parasolka i bardzo wiekowy kapelusz nie zwracały uwagi osób bogatszych, ale wpadły zaraz w oko jegomościowi w czarnym surducie, w szerokich spodniach, schowanych w cholewy grubych butów wyglancowanych szuwaksem⁸⁶. Jegomość był tęgi, czerwony na twarzy i miał widać astmę, bo sapał ciężko i pokaszliwał.

– Proszę też pani – rzekł szeptem, przystępując do pani Borowiczowej – nic nie wiadomo, kiedy egzamina?

– Nic nie wiem, mój panie. Pan syna oddaje?

– A chciałbym... Czwarty dzień siedzę. Nie wiem już, co robić nawet...

– Śpieszy się panu?

– A i jakże, proszę łaski pani, u mnie propinacja⁸⁷ zwłoki nie cierpi. Akcyźny⁸⁸ jeździ, a wiadomo, co to akcyźny, jak gospodarza w domu nie masz. Raz człowieka nie masz, drugi raz, to on tam natychmiast zada *corny* kawy z *czytryną*⁸⁹!

– Chłopiec do wstępnej klasy?

– Ma się wiedzieć, proszę łaski pani.

– Przygotowany?

– Ha, kto jego wie? Powiedział *korepetur*, że najpierwsza ranga.

Kiedy propinator zaczął szczegółowiej opowiadać o przygotowaniu swego syna, wszedł na korytarz dyrektor gimnazjum. Był to stary i siwy człowiek, średniego wzrostu, z brodą krótko przystrzyżoną. Szedł podniósłszy głowę i rzucał szybkie spojrzenia na prawo i na lewo spod ciemnoniebieskich okularów. Znienacka wstrzymał się przed szynkarzem i głośno zawołał na niego:

– *Wam czewo*⁹⁰?

Gruby jegomość zapiął swój czarny surdut i uderzył się dłonią po karku.

– Kto pan jesteś? – pytał dyrektor coraz głośniej, natarczywiej i niegrzeczniej.

– Józef Trznadelski... – wybełkotał.

⁸⁵ *egzamina* – dziś popr. forma B.lm: egzaminy. [przypis edytorski]

⁸⁶ *szuwaks* (z niem.) – pasta do butów. [przypis edytorski]

⁸⁷ *propinacja* (z łac.) – prawo sprzedaży napojów alkoholowych; tu: karczma. [przypis edytorski]

⁸⁸ *akcyźny* – poborca podatkowy; por. akcyza. [przypis edytorski]

⁸⁹ *zada corny kawy z czytryną* (gwar.) – tu: nałożyć zwiększony podatek. [przypis edytorski]

⁹⁰ *Wam czewo?* (ros.) – czego pan sobie życzy? [przypis edytorski]

- Czego pan sobie życzysz?
- Syn... – szepnął Józef Trznadelski.
- Co syn?
- Do egzaminu...

Dyrektor zmierzył propinatora badawczym spojrzeniem od stóp do głów, dłużej zatrzymał wzrok na cholewach jego butów, a później zadarłszy głowę jeszcze wyżej ruszył do kancelarii, nie odpowiadając na ukłony zgromadzonych. W czasie tej rozmowy pani Borowiczowa ze strachem oddaliła się z tego miejsca i stanęła aż w przedsionku. Kręciło się tam kilkunastu uczniów w mundurach, z pierwszej albo drugiej klasy, którzy mieli jakieś *poprawki*, gdyż nawet kopiąc się wzajemnie i wodząc za łby, nie wypuszczali z rąk łańciskich i greckich gramatyk. Marcinek oddalił się od matki i przypatrywał właśnie bójce dwu gimnazystów, gdy z podwórza nadbiegł trzeci w mundurze i niezwłocznie zaczepił małego Borowicza:

- Te, ryfa⁹¹! kto ci sprawił takie majtasy?
- Mama... – szepnął Marcinek, cofając się do muru.
- Ma-ma? Nie pradiadek Pantaleon Zapinalski z Cieleńcej Wólki?
- Nie... ja nie mam pradiadka Zapinalskiego... – rzekł zdumiony Borowicz.
- Nie masz? To gdzieś go podział? Gadaj!
- A co to kawaler chce od mego syna? – zapytała pani Borowiczowa dotknięta trochę kpinami z jej syna.

Zamiast odpowiedzi gimnazysta siadł po damsku na poręcz schodów, zjechał w mgnieniu oka aż na sam dół i znikł jak senne marzenie w mroku suteryn, gdzie mieściły się drwalnie i składy szkolne.

Jednocześnie pan Pazur drzemiący na stołeczku dźwignął cokolwieczek jedną ze swych ogromnych powiek i chrapliwym głosem wrzasnął:

- *Wospreszcza*⁹² się gadać *po polski*!

Dwaj uczniowie, którzy przed chwilą wrywali sobie garściami włosy, posłyszawszy admonicję⁹³ pana Pazura, jak na komendę zgodnymi głosami zaintonowali pieśń:

Pazur
Mazur
Obzał się grochu!...

Pedel zatrzasnął uchyloną nieco powiekę i naśladowując od niechcienia wargami świst różgi wykonał ręką kilka ruchów dokładnie przypominających *rznięcie na pokładankę*. Pani Borowiczowa zbliżyła się do niego i dotknawszy ręką jego ramienia zapytała:

- Panie, czy nie mógłby mi pan powiedzieć, kiedy będzie egzamin?

Pedelisko spojrzało na nią leniwie i nic nie rzekło. Wówczas wsunęła mu w garść srebrną czterdziestówkę i powtórzyła swe pytanie. Stary ożywił się zaraz i począł skrobać swoją błyszczącą łysinę.

– Widzi pani, mnie nic nie *izwiestno*⁹⁴. Ale trzeba by tak zrobić: jak *uczycieli*⁹⁵ wyjdą z kancelarii i pójda na *etaż*⁹⁶, to można iść do *sekretara*. Jeśli kto wie, to on...

- A prędko też mogą wyjść z tej kancelarii?
- Ha... tego to już *znać* nie mogę.

⁹¹ *ryfa* – cymbał (przezwisko). [przypis edytorski]

⁹² *wospreszcza* (popr. ros. *wosprieszciajetsia*) – zabrania się. [przypis edytorski]

⁹³ *admonicja* (z łac.) – upomnienie. [przypis edytorski]

⁹⁴ *izwiestno* (ros.) – wiadomo. [przypis edytorski]

⁹⁵ *uczycieli* (ros.) – nauczyciele. [przypis edytorski]

⁹⁶ *etaż* (ros.) – piętro. [przypis edytorski]

Wiadomość tę matka Marcina powtórzyła kilku osobom na korytarzu. Wieść o możliwości powzięcia jakiejś wskazówki szybko się rozeszła wśród tłumu. Istotnie dyrektor, a za nim nauczyciele kolejno wychodzili z kancelarii i udawali się na piętro, gdzie mieściła się większość klas wyższych i dokąd nikomu z obcych wchodzić nie pozwalano. W kancelarii jednak zostało jeszcze kilku profesorów. Jeden z nich wszedł do klasy, której nie odnawiano, i wprowadził tam ze sobą uczniów zdających *poprawki*.

Drzwi do tej izby zostały niezamknięte i Marcinek z trwożną ciekawością przypatrywał się i przysłuchiwał procesowi egzaminowania. Stary nauczyciel w granatowym fraku chodził od drzwi do okna, coś pod nosem mrucząc, a uczeń rozwiązywał na tablicy zadanie algebraiczne. Ujrawszy jakieś znaki i cyfry, których znaczenia wcale nie rozumiał, Marcinek ścierpł ze strachu i szepnął do matki ze łzami:

– Mama myśli, że ja zdam, kiedy ja tego wcale nie umiem!

– Ależ ciebie o to pytać nie będą... Widzisz przecie, że to uczeń z wyższej klasy odpowiada.

Swoją drogą Marcinek ze strachu nie ochłonął, a widok *iksów* i *igreków* bardziej jeszcze powiększył ciężar, który malca jak stos gruzu przyciskał.

Nareszcie wyszli z kancelarii ostatni nauczyciele i wówczas pewna grupa osób, do której przyłączyła się i pani Borowiczowa, wsunęła się do tego pokoju. Był on długi, ciemny, z jednym oknem, którego dolna rama znajdowała się na równi z brukiem podwórza. Siedział tam tyłem do drzwi zwrócony sekretarz szkoły.

Przybyli dosyć długo stali u drzwi, nie śmiejąc zaczepić sekretarza pogrążonego w pracy. Nareszcie ktoś chrząknął. Urzędnik obejrzał się i spytał zebranych, czego sobie życzą. Obywatel ziemski, który przywiózł do szkół dwu chłopców aż z drugiego końca sąsiedniej guberni, wyłożył językiem z kiepska-rosyjskim prośbę o podanie jakiejś wskazówki co do dnia egzaminów.

– Nic panu nie mogę powiedzieć – odrzekł sekretarz – gdyż nic nie wiem. Wszystko zależy od nauczyciela wykładającego w klasie wstępnej, pana Majewskiego, jeżeli o egzamina do wstępnej panu idzie. Przypuszczam, że w tym jeszcze tygodniu.

– W tym tygodniu... – zamruczał szlachcic, który już osiem dni był poza swym folwarkiem.

– Tak sądzę... – rzekł sekretarz i zaczął natychmiast wycierać gumą, w drzewo oprawioną, jakiś błąd w swych papierach.

Szlachcic zwrócił się do osoby najbliższej przy nim stojącej, niby to jej wyjaśniając odpowiedź, a właściwie w oczekiwaniu, że urzędnik jeszcze coś powie. Ten wszakże nie tylko nic nie powiedział, ale się nadto spojrzął z wyrazem niecierpliwości.

Wówczas cała gromada opuściła kancelarię. Smutek jeszcze większy ogarnął Marcina i jego matkę, gdy się znaleźli na ulicy. Niepokój oczekiwania nie ustał, a wzmogło się znużenie. Chłopiec od chwili przyjazdu do tego miasta był smutny. Męczyła go i dławiała spiekota miejska, bruk palił i wykręcał mu nogi, widok murów, a brak horyzontu sprawiał mu przykrość bez nazwy, co mimo nieustannych westchnień nie mogła wyrwać się z piersi. Wszystko w tym mieście było inne niż na wsi, było dla niego zimne i szorstkie, traktowało go nie jak dziecko. Drzewa stojące gdzieś obok chodników, małe drzewa, ujęte w żelazne okratowania jak kajdaniarze, napawały go boleścią, czuł taki brak miękkiej murawy, że ze łzami poglądał na jej ździebełka wegetujące między kamieniami bruku, a jedyną ulgę i pociechę znajdował w spoglądaniu na niebo, które jedno było takie samo jak w Gawronkach i które jedno jak wierny przyjaciel szło za nim wszędzie, dokądkolwiek się skierował.

Wprost z gimnazjum powrócili do hotelu i zamknęli się w swoim numerze. Zajazd mieścił się w jednej z brudniejszych ulic miasta. Z bramy w piętrowym froncie domostwa wchodziło się tam na mało co szersze od niej podwórze, wybrukowane takimi bulwami kamiennymi, jakby ta robota wykonana została przez cyklopów, budowniczych Akryzjusza, dziada Perseuszowego⁹⁷.

⁹⁷ *budownicowie Akryzjusza, dziada Perseuszowego* (mit. gr.) – obdarzeni olbrzymią siłą jednoocy Cyklopi, którzy wznosili na rozkaz władcy Akryzjusza potężne budowle; wnukiem Akryzjusza był Perseusz. [przypis edytorski]

Stajnia nakryta wielkim i dość dziurawym dachem była przedłużeniem dziedzińca. Z obydwu stron odkrytego placu znajdowały się dwa długie parterowe domy, w których mieściły się pokoje hotelowe. Wchodziło się do nich wprost z bruku, na którym znać było, że konie szlachciców goszczących w murach Hotelu Warszawskiego nieraz bardzo długo czekać musiały na wyjazd swych władców. W rogu dziedzińczyka czerniały na odrapanym murze ogromne litery napisu: *Numerowy* – a niżej widać było okno do połowy schowane w ziemię. Tam właśnie mieszkał chudy i ponury Wincenty, istota żyjąca z napiwków składanych w jej dłoni tytułem wynagrodzenia za usługi wszelkiego rodzaju, do jakich jej używał świat goszczący w Hotelu Warszawskim.

Pani Borowiczowa kazała Marcinkowi powtarzać gramatykę rosyjską, a sama ułożyła się na kanapie, żeby odpocząć. Pragnęła choć chwileczką snu skrócić czas oczekiwania na rezultat swych zabiegów, ale nie udało się jej zmrużyć oka. Twarda poduszka hotelowa i wilgotna jej poszewka przejmowały ją wstrętem; co chwila rozlegał się łoskot straszliwy, gdy na dziedziniec wjeżdżała jakaś furmanka, a nadto z sąsiedniego numeru, dokąd prowadziły drzwi zamknięte na głucho i zatarasowane komodą, słychać było ciągłe hałasy i wrzaski.

– Sam ojciec nie ma wyobrażenia o *udareniach*⁹⁸, a będzie tu mnie uczył! – wrzeszczał piskliwie i z zjadłością nadzwyczajną głos dziecięcy.

– Ja ci się nie pytam, *cembale*, o to, czyja umiem *udarenia*, czy nie, tylko ci każę czytać... – odpowiadał głos gruby.

– No to ja ojcu mówię, że ojciec nie umie! Golić brody ojciec umie, strzyć kłaki to samo, ale co do czytania, to tam już nie ojca głowa.

– Widzieliście wy, moi ludzie... – biadał głos gruby. – Jeszcze toto do sztuby nie weszło, a już taki rezon. A cóż to będzie potem? Ojcem swym, rodzicem gardzisz?

– E!... daj mi tam, ojciec, święty pokój!... Pan inaczej kazał czytać, i cała rzecz.

– Ale tu pana nie ma, rozumiesz ty to? Jutro albo pojutrze wezmą cię na spytki i pójdziesz na grzyby, jak nie będziesz czytał, bo zapomnisz na amen.

– A, zaraz na grzyby... – mruknął głos dziecięcy.

Marcinek stojąc w oknie szeptał oklepane terminy gramatyczne, które umiał, nie dość powiedzieć jak pacierz, bo na wrywki jak tabliczkę mnożenia – i spoglądał apatycznie na dziedziniec.

Rozmowa w sąsiednim numerze mało go interesowała, natomiast uderzało go to, co widział obok mieszkania stróża.

Stał tam Izraelita odziany w surdut długi, ale nie sięgający do kostek i zupełnie czysty. Trzymał w ustach białą kościaną rączkę laski i słuchał tego, co mu żywo rozповідаł numerowy. Kiedy niekiedy rzucał spod oka wejrzenie na szyby, przy których stał Marcinek, i ciągle palcami prawej ręki drapał się w brodę. Wkrótce zbliżył się wolno do drzwi numeru i zastukał.

– Któż tam? – z niepokojem spytała pani Borowiczowa, przekręcając klucz w zamku.

– To ja, proszę wielmożnej pani – rzekł przybyły, wsuwając do numeru głowę. – Jestem kupiec zbożowy, chcę troszkę powiedzieć o interesie.

– Ja nie mam teraz czasu mówić o tych sprawach, mój panie. Jedź pan z łaski swojej do Gawronek do mego męża, to się pan z nim rozmówisz.

– Tak to łatwo wielmożnej pani powiedzieć: jedź... Takie czasy okropne nastały z tą stagnacją⁹⁹, z tym... rządem. Zresztą, czy ja potrzebuję wielmożnej pani te rzeczy wytłumaczyć? – rzekł, wchodząc prawie forsą¹⁰⁰ do pokoju.

– Mój panie kupiec, ja nie jestem wielmożną, o interesie teraz i tutaj mówić nie będę, bo mam inne, ważniejsze sprawy na głowie...

⁹⁸ *udarenie* (ros.) – akcent. [przypis edytorski]

⁹⁹ *stagnacja* (z łac.) – zastój. [przypis edytorski]

¹⁰⁰ *forsą* (z fr.) – siłą, przemocą; por.: forsować. [przypis edytorski]

– Z tym młodym kawalerem. Ja rozumiem, moja pani kochana. To jest niemały kłopot... ja to wiem... – rzekł z westchnieniem.

Westchnienie i sama wzmianka o kawalerze zmiękczyły zaraz serce pani Borowiczowej.

– Oddawałeś pan może syna do gimnazjum? – spytała.

– Ja nie oddawałem, bo mnie nie bardzo stać na takie fanaberie w dzisiejszych czasach, ale mój brat, ten oddawał. No i użył na tej zabawce... A do której klasy? – spytał Marcinka z uśmiechem.

– Do wstępnej, panie.

– Uu! Bardzo dużo *kandydaty*, całe sto ludzi, powiadają, na trzydzieści cztery miejsca. Czy dobrze przygotowany... przepraszam, jak imię synka?

– Marcinek... – odrzekła pani Borowiczowa. – Pan się pyta, czy dobrze przygotowany? Zapewne że dobrze, ale czy zda... któż to może wiedzieć?

– Dlaczego on nie może zdać, taki Marcinek! – zawołał kupiec. – On zda na pewno, tylko od tego zdania do przyjęcia – to jeszcze cały loch. Niech pani obliczy: sto kilka i może jeszcze więcej *kandydaty*, na trzydzieści cztery miejsca... to jest okropna cyfra. Oni... te Moskale – dodał ciszej – oni chyba będą od razu nasze biedne dzieci pytać z łaciny przy egzaminie do wstępnej klasy!... Dzisiaj prawie każdy przygotowany, wszystkie mówią po rusku, a oni wybierają tylko niektórych. To są ciężkie czasy, moja pani, dla *oszwiate*...

Wejrzenie Marcinka spotkało się ze wzrokiem matki i nie zaczerpnęło tam otuchy. Ten Żyd zdał się nagle pani Borowiczowej złym zwiastunem. Miała chęć wyprosić go z numeru, kiedy on rzekł znowu:

– Mój brat dwa lata temu, jak oddawał synka tak samo do wstępnej klasy, to on się doskonale urządził.

– Jakże on się urządził?

– On sobie pomyślał: Kto może najlepiej wiedzieć, jak trzeba odpowiadać, żeby zdać do pierwszej klasy? Oczywiście ten, co egzaminuje do pierwszej klasy. On sobie pomyślał dalej: Dlaczego ten, co egzaminuje do pierwszej klasy, nie ma nauczyć mojego Gucia dobrze odpowiedzieć? Dlaczego on jemu nie może dać *korepytycje*, kiedy wszystkie profesory mają prawo dawać *korepytycje*? Mój brat tak sobie pomyślał i udał się do pana Majewskiego, który egzaminuje, który później przez cały rok uczy we wstępnej klasie ruskiego, *artymetyki*... on jego grzecznie poprosił...

– Dużo też zapłacił brat pański za takie lekcje?

– Tego ja nie wiem dokładnie, ale mnie się zdaje, że niedużo. To jest wyrozumiały człowiek, ten pan Majewski.

– A czy długo bratanek pański chodził do niego?

– To samo niedługo. Całej parady tydzień chodził.

– I zdał?

– Zdał bardzo dobrze, lepiej niż takie, co mieli *korepytory* akademiki...

– Panie łaskawy – rzekła matka Marcinka – nie mógłbyś się pan czasem dowiedzieć od swego brata, ile on też zapłacił panu Majewskiemu?

– Dlaczego nie? Ja mogę się dowiedzieć, ale odpowiem chyba aż jutro, bo mój brat mieszka bardzo daleko, na drugim końcu miasta, za przedmieściem Podpórka, a ja nie mam tam żaden interes...

– Ja bym panu zwróciła koszta na dorożkę – rzekła pani Borowiczowa, wydobywając z woreczka papierek rublowy i podając go kupcowi – gdybyś pan zechciał zaraz pojechać i dowiedzieć się szczegółowo.

– Owszem, ja to mogę zrobić dla pani – rzekł starozakonny, od niechcienia chowając papierek do portmonetki. – Ja się dowiem i niedługo wrócę. *Adiu*¹⁰¹!

¹⁰¹ *adiu* (popr. fr. *adieu*) – bądź zdrów, do widzenia. [przypis edytorski]

Zanim pani Borowiczowa zdołała ochłonąć z ogniów, które na nią uderzyły, gdy słyszała o możliwości takiego polepszenia sprawy egzaminów, nim zdążyła skupić myśli i zważyć okoliczności, Izraelita już pukał do drzwi. Misję wywiedzenia się całego sekretu od brata mieszkającego na drugim krańcu miasta Klerykowa załatwił tak szybko, jakby w tym Klerykowie funkcjonowały jakieś piorunujące środki komunikacji, nigdzie dotychczas na lądzie stałym niewprowadzone.

– Mój brat powiada – rzekł jeszcze we drzwiach – że on na tę całą sztukę wydał po trzy ruble za godzinę, to znaczy dwadzieścia jeden. Żeby to było grzecznie w jednym papierku, to on dał dwadzieścia pięć rubli.

– A nie wiesz pan przypadkiem, gdzie mieszka pan Majewski?

– On mieszka na Moskiewskiej ulicy, w domu Baranka, z bramy po lewej ręce.

– Dziękuję panu bardzo – rzekła pani Borowiczowa – za pańską grzeczność. Kto wie, może i ja poproszę pana Majewskiego o lekcje dla mego syna.

Starozakonny usiłował znowu rozpocząć gawędę o zbożu i jego cenach, ale pani Borowiczowa nie chciała już z nim więcej konwersować. Wychodził z numeru ociągając się i jeszcze w głębi dziedzińca medytował nad czymś głęboko.

O godzinie pierwszej dziedziczka Gawronek wyszła z synem na obiad do restauracji. Furmana z końmi i bryczką wyprawiła zaraz do domu. Opisała cały stan rzeczy mężowi prosząc go usilnie o pożyczanie od miejscowych bankierów dwudziestu pięciu rubli. W restauracji matka i syn nic prawie nie tknęli. Kelner, pół na pół zjedzony przez gruźlicę, biegł daremnie z ogromną elegancją w swym fraku, tak olśniewająco błyszczącym, jakby był uszyty z wysuszonej poźłoty rosołu – przynosił różne wazki, półmiski, talerze z ciekłymi, prażonymi i duszonymi potwornościami – i odnosił je do kuchni prawie w takich samych ilościach i rozmiarach. Wszystko, co robiła i o czym myślała pani Borowiczowa, to były w warunkach życia rodziny szlacheckiej tego rodzaju – po prostu zamachy stanu. Już samo oddawanie syna do gimnazjum, konieczność płacenia stancji, wpisów, nabywania książek, odzieży mundurowej itd. stanowiły wysiłek niezmierny. Teraz, kiedy przyszło jeszcze płacić po trzy ruble za godzinę lekcji, była to już gra. Pani Borowiczowa rozważała to wszystko, przebiegała w myśli wszelkie szanse i zdecydowała się nieodwołalnie: choćby przyszło łachmany wiązać, chłopca uczyć trzeba. Liczyła zresztą na indyki, prosięta, kaczki itp., i obiecywała sobie, że pokryje niespodziewane wydatki. W czasie obiadu znajdowała się w tym stanie szczególnego podniesienia umysłu, kiedy się różne sprawy i zjawiska życia tak trafnie ocenia, że się prawie ich bieg przyszły na jawie widzi. Były to jednak sprawy blisko stojące. Nad rozleglejszą granicą tego widnokregu zwieszała się ciemność nieprzenikniona, zakrywająca go nawet przed wzrokiem matki. Kto to jest ten mały Marcinek? Jaki mężczyzna wyrośnie z tego dziecka? Jaka będzie jego twarz? Jak on będzie mówił? Co on będzie myślał?... Zagłębiała się w te pytania bez przerwy, spoglądając na jego ostrzyżoną głowinę.

Restauracja była prawie pusta. W salkach przystrojonych z brudnym szykiem – *notabene* z brudnym szykiem małomiejskim – uwijał się ów kelner. Wyszwarzowane¹⁰² i podkreśnione do góry jego wąsy, rozczesana na środku głowy czupryna kapitałnie pasowały do twarzy powleczonej trupią, zielonawą skórą, na której lewym policzku ceglasto czerwieniła się plama wypieku. Zbliżając się do gości, przybierał ten człowiek na twarz swoją uśmiech swój kelnerski, który był taką samą w fachu jego szatą jak frak; wykonywał ruchy pełne elegancji, szastał się i kłaniał z wielką swobodą. Pani Borowiczowa spoglądała na niego przez kilka chwil z uwagą – wtedy właśnie, kiedy jej marzenia zaglądały w przyszłość kandydata do klasy wstępnej. I znowu stanął jej w myśli nowy wydatek, wydatek najbardziej nieodzowny ze wszystkich. Gdy przyszło do płacenia należnych za dwa obiady pięciu złotych, złożyła na tacce obok tej sumy trzy ruble papierowe i posunęła je kelnerowi, myśląc w głębi swego serca:

„Na intencję szczęśliwego życia mojego Marcinka...”

¹⁰² wyszwarcowane (z niem.) – uczerniony. [przypis edytorski]

Zaraz po obiedzie udali się obydwój na ulicę Moskiewską i z łatwością wyszukali mieszkanie pana Majewskiego. Na odgłos dzwonka otwarła im drzwi tego mieszkania dama bardzo piękna i ubrana w negligé¹⁰³ wykwinny.

Dowiedziawszy się, że pani Borowiczowa ma interes do „profesora”, wprowadziła ją do saloniku i radziła uprzejmie oczekiwać tam powrotu jej męża, co miało nastąpić punktualnie za pół godziny.

Salonik ów było to istne pudełeczko wyłożone pięknymi sprzętami. Na środku błyszczącej posadzki leżał dywan, a na nim stały niewielkie mebelki obite jasną materią: wykwinna kanapka i foteliki skupione dokoła małego stołu, gdzie leżały albumy, całe stosy fotografii w pięknych pudłach i misa napełniona biletami wizytowymi.

Pod oknem mieściło się biurko zastawione mnóstwem ciekawych cacek: szeptał tam zegar podobny z kształtu do altanki, w której głębi wahadło w formie kolebki z uśpionym dzieciątkiem kołysało się łagodnie; stały tam przeróżne kałamarze, spręciki na papierosy, na zapałki, stalówki itd. najrozmaitszych pomysłów; wyżej na dwu półkach błyszczało mnóstwo przycisków, figielków z porcelany, brązu, kubków i szkielek kolorowych. Przed biurkiem było lekkie krzesło na biegunach, obok niego kosz ze zniszczonymi papierami. Na wszystkich ścianach wisiały tak zwane chińskie parawaniki z rozpostartymi w nich na kształt wachlarzy fotografiami pięknych dziewcząt o niesłychanie wielkich oczach i biustach do najniższego stopnia odsłoniętych, albo reprodukcje miłych kociąt, scen zabawnych i widoki miasta gubernialnego Klerykowa.

W rogu saloniku obok żardinierki¹⁰⁴ stało pianino i znowu na nim zadziwiająco piękne spręciki i fotografie w wykwinnych stojących ramkach z pluszu i połyskującej blachy.

Pani Borowiczowa usiadła na brzeżku pierwszego krzesła, w bliskości drzwi; zaleciła synowi kilkakrotnie, żeby stał spokojnie, a nie zbił czego, broń Boże – i czekała z bijącym sercem.

Teraz, kiedy już prawie wykonany został taki zamach stanu, trwoga ją obejmować zaczęła, czy też to nie jest krok szalony. Zegar na biurku szeptał, zdawało się: nic z tego, nic z tego...

W sąsiednich pokojach słychać było jakieś kroki i rozmowy szeptem prowadzone. Nasłuchując, czy to już sam pan profesor nie wchodzi, pani Borowiczowa zwróciła machinalnie oczy w kąt pokoju i dostrzegła tam ikonę w srebrnej szacie i płonące przed nią światełko.

„Prawda, prawda... – pomyślała – przecie to ten, co przeszedł na prawosławie”.

W danej chwili najmniej by ją ta kwestia obchodziła, gdyby nie to, że za nią jak cień włókł się zabobon:

„...To nie musi być dobry człowiek...”

Zegar z kolebką wydzwonił srebrnym głosikiem godzinę drugą, a pana Majewskiego jeszcze nie było.

Dopiero przed trzecią rozległ się dzwonek w przedpokoju, a po upływie kilkunastu minut drzwi do saloniku otwarły się cicho i stanął w nich pan profesor.

Był to blondyn wysoki, z jasnym zarostem i bardzo przeredzoną czupryną. Miał na sobie jeszcze frak granatowy i takąż kamizelkę ze srebrnymi guzikami, z których każdy zaopatrzony był w orła państwowego. Kamizelka ta była głęboko wycięta i odsłaniała gors koszuli promieniejąco biały, wykrochmalony i błyszczący jak szyba lustrzana.

Nauczyciel złożył ukłon wyciągając pięknym ruchem obadwa¹⁰⁵ mankiety, a gdy pani Borowiczowa powiedziała swe nazwisko, zapytał po rosyjsku:

– Czym mogę służyć?

¹⁰³ negligé (z fr.) – swobodny strój domowy. [przypis edytorski]

¹⁰⁴ żardinierka (z fr.) – ozdobna stojąca półka pokojowa na kwiaty doniczkowe. [przypis edytorski]

¹⁰⁵ obadwa – dziś: obydwaj. [przypis edytorski]

Matka Marcinka nie mówiła tym językiem, a bała się obrazić profesora, jeżeli zacznie mówić po polsku, toteż jąła wykladać mu swą prośbę po francusku, z mozołem wymawiając zdania i zwroty dawno zapomniane.

Pan Majewski z wdziękiem usiadł na pobliskim fotelu, nastawiał mimowiednym ruchem swe ciemnoniebieskie binokle, otwierał przy tej sposobności nieznacznie usta, ale nie zdawał się rozumieć, o co rzecz idzie.

Wkrótce też spytał po polsku z przeciąganiem i akcentowaniem z ruska wyrazów, aczkolwiek dopiero przed dwoma laty został Rosjaninem, nigdy w Rosji nie był i z granic guberni klerykowskiej zamieszkaanej przez samych Polaków (ze znaczną domieszką żydowską) ani razu nie wyjechał:

– Otóż, chodzi tutaj o tego młodzieńca... *tak li?*...

– Tak, panie profesorze – mówiła teraz jednym tchem pani Borowiczowa – pragnęłabym oddać go do klasy wstępnej. Uczył się na wsi, w szkole elementarnej. Czy jest przygotowany... tego właśnie osądzić nie jestem w stanie. Dlatego też śmiem prosić pana profesora, czyby nie zechciał przygotować go jeszcze nieco, zanim egzamin... Z pewnością kilka lekcji udzielonych przez takiego jak pan profesor pedagoga więcej go oświeci niż pół roku nauki w szkole wiejskiej...

– No, cóż znowu? – zawołał pan Majewski z satysfakcją kierownika klasy, wprowadzie tylko wstępnej, aleć zawsze w gimnazjum, który jeszcze parę lat temu był nauczycielem szkółki elementarnej w jakiejś Kiernozji.

– Jestem najmocniej przekonana, że tak jest... Gdyby tylko pan profesor raczył zwrócić na mego syna uwagę...

– Widzi pani – przerwał pan Majewski – masa kandydatów... Nie wiem, co on umie, czy to się na co przyda...

– Panie profesorze...

Pan Majewski uprzejmym gestem przerwał pani Borowiczowej i zadał Marcinowi kilka pytań rosyjskich z zakresu arytmetyki, gramatyki itd. Wysłuchawszy jego względnie dobrych odpowiedzi wsparł czoło na ręce i przez kilka chwil coś głęboko rozważał.

– Panie... – szepnęła ze drzeniem matka kandydata.

– Tak... Jeżeli pani sobie życzy, mogę dać małemu kilka lekcji. Czy zda... tego, rozumie się, przewidzieć niepodobna...

– Źle jest przygotowany?

– Nie to, żeby źle, owszem, na ogół biorąc... Ale, widzi pani, wymowa, akcent, to, czego jakiś korepetytor, jakiś belfrzyna na wsi wpoić nie jest w stanie, bo sam tego nie posiada... System, widzi pani, wymaga, to jest... akuratannej wymowy, a tego... nie ma. Wszyscy w tych stronach mówią w domu po polsku, rodzice... więc też i dzieci nie mogą mówić dobrze. A system, pojmuję pani, wymaga tej, że tak powiem – akuratannej wymowy.

Ktoś z lekka zapukał do drzwi. Profesor poruszył się niecierpliwie, jakby na znak, że sprawa jest wyczerpana. Chwila ta była istną katuszą dla pani Borowiczowej, gdyż należało przystąpić do kwestii zapłaty, uskutecznić ją stanowczo, dyplomatycznie i z całym mistrzostwem grzeczności.

– Będę – rzekła – nieskończenie panu profesorowi wdzięczną za tę istotną łaskę... Czy mogłabym od razu teraz uiścić się z należności za te lekcje? Zapewne wypadnie mi w tych dniach odjechać i dlatego tylko trudzę pana...

– O to... tego... Biorę zwykle po trzy ruble za godzinę. Mam tutaj kilkunastu chłopców, których również przygotowuję. Od nich biorę w tym stosunku...

– Mam nadzieję, że wystarczy jeszcze czasu na jakie osiem lekcji. Władza tak zwleka... – rzekła pani Borowiczowa z rodzajem łaskawej i uprzejmej wymówki. – Dla nas zaśniedziałych po wsiach jest to właściwie dobrodziejstwo, gdyż możemy przy sposobności używać miasta, ale za to nasze role i gumna¹⁰⁶... Oto jest dwadzieścia pięć rubelków...

¹⁰⁶ *gumno* – część gospodarstwa wiejskiego, gdzie młócono i przechowywano zboże, niekiedy obejmująca stodołę, spichlerz itp.,

– Ach... to ja pani rubla reszty... – zawołał z pośpiechem nauczyciel rzucając się do wykwintnego biurka.

– Och... tyle subiekcji¹⁰⁷...

– A, nie, nie! – wołał nauczyciel. – Jestem tej zasady, rozumie pani: kochajmy się jak bracia, a liczymy się jak Żydzi...

Pomimo że pani Borowiczowa wcale nie nadawała się na brata pana Majewskiego, nie wzięła mu jednak za złe tej maksy. Przyjąwszy rubla, wśród ukłonów zobopólnych oraz tysięcznych komplementów profesora wyszła odprowadzona przezeń aż do drzwi wchodowych¹⁰⁸. W sieni pan Majewski ujął malca za ramię i otworzywszy drzwi na lewo wskazał mu duży pokój, prawie pusty, z ogromnym sosnowym stołem na środku.

– Przychodź na lekcje od dziś codziennie punkt o piątej... i od razu wchodź do tego pokoju... – rzekł głaszcząc chłopcu czuprynę.

niekiedy oznaczająca klepisko. [przypis edytorski]

¹⁰⁷ *subiekcja* (z łac.) – kłopot. [przypis edytorski]

¹⁰⁸ *wchodowy* – dziś: wejściowy. [przypis edytorski]

IV

Tylko trzy razy pani Borowiczowa zaprowadziła jedynaka z hotelu na popołudniowe lekcje do profesora, już bowiem czwartego dnia odbył się pierwszy egzamin z języka rosyjskiego. Na korytarzu gimnazjalnym panował tego dnia istny stan oblężenia. Publiczność tłoczyła się tak zapamiętałe w celu podpatrywania i podsłuchiwania tego, co się odbywało w sali egzaminacyjnej, że władza zmuszona była wydelegować aż trzech asystentów gospodarzy klas i pana Pazura do wypowiadania grubiańskich uwag pod adresem rodziców, a nawet do forsownego rozpychania ich łokciami.

Komisja egzaminacyjna składała się z trzech osób: z inspektora gimnazjum, pana Majewskiego i jednego z nauczycieli. Ten ostatni zresztą niewielką do całej sprawy zdawał się przywiązywać wagę, gdyż zajęty był wyłącznie grzebaniem w uchu za pomocą bardzo cienkich patyczków brzoźowych uciętych z miotły. Cały pęk tego rodzaju instrumentów wychylał się z bocznej kieszeni jego fraka. Inspektor był mężczyzną ogromnego wzrostu, z głową porośłą istnym wygrabkiem rudawych włosów. Jego wielkie niebieskie oczy spoglądały tak posepnie i złowrogo, że dreszcz trwogi przejmował nie tylko uczniów, ale i rodziców. Stos papierów leżący przed inspektorem służył mu za rodzaj listy przystępujących do egzaminu. Były to prośby i dokumenty kandydatów. Papiery te, w miarę jak nauczyciel Majewski egzaminował malca, inspektor odczytywał z uwagą i dawał swoją notę. Przesłuchiwanie trwało krótko: dwa, trzy zdania chłopiec czytał, później opowiadał, wygłaszał jakiś wiersz rosyjski, jeśli go umiał na pamięć, następnie rzucano mu pytanie z gramatyki i polecano wykonać rozbiór. Rozbiór i pytania zadawane chłopcom zniecka, pospolite pytania konwersacyjne, ogłupiały większość niewielkich Polaczków.

Co chwilę jakiś *zerżnięty* wychodził na korytarz, gdzie go witała zrozpaczona, częstokroć zalana łzami twarz matki lub ojca. Malcy, którzy dali odpowiedzi zadowolające, na rozkaz inspektora powracali na swe miejsca. Gdy tak przebrano kandydatów, setka ich z górą zredukowała się do ilości pięćdziesięciu paru. Wtedy pan Majewski rozsadził ich w ten sposób, żeby między jednym a drugim była znaczna przestrzeń ławy, i rozkazał pisać dyktando. Gdy odebrano zapisane kartki, miał miejsce drugi egzamin, bardziej szczegółowy i głównie zahaczający o pisownię. Indagował teraz sam inspektor, a pan Majewski powtarzał wszystko, co zwierzchnik jego wykonywał. Kiedy inspektor Sieldiew marszczył swe niskie czoło i mrużył oczy – pan Majewski przybierał minę surową; kiedy się natrząsał szyderczo z głupich mniemań małych „przywiślańców”¹⁰⁹ na punkcie arkanów etymologii i syntaksy – pan Majewski chichotał do rozpuku; kiedy inspektor spoglądał na drzwi ze złością i podglądającym rodzicom dawał znaki, aby się usunęli i zachowywali cicho – pan Majewski trzepał rękami i wykrzywił się spazmatycznie. Krzesło jego stało nieco w tyle za krzesłem inspektora, a ta pozycja dozwalała nauczycielowi klasy wstępnej obserwować każdej chwili spod oka wyraz twarzy potentata gimnazjalnego. Zdarzyło się jednak, że inspektor w sposób rdzennie rosyjski wydłubywał sobie z zęba paznokciem jakieś dokuczliwe włókienko i wyszczerzył przy tej czynności lewą połowę swej paszczęki. Majewski dostrzegłszy spróchniałe zęby wybuchnął zaraz głośnym śmiechem, na którego odgłos nie tylko Sieldiew przyjrzał mu się z podziwem, ale nawet Harion Stiepanycz Oziński, zwany przez wszystkich uczniów, mieszkańców miasta Klerykowa, kolegów nauczycieli i członków własnej rodziny „Kałmukiem”, cofnął patyk z ucha, wytrzeszczył swe białe oczy, uderzył pięścią w stół i mruknął:

– *Da-s, eto toczno*¹¹⁰!

Marcin Borowicz należał do liczby zostawionych w klasie. Utrzymał się nawet po drugim egzaminie i zasłużył na przychylną decyzję inspektora. Ogromna większość chłopców zebranych na

¹⁰⁹ *przywiślańcy* – mieszkańcy „Kraju Nadwiślańskiego” (ros. *Privislinskij Kraj*); tak po upadku powstania styczniowego rząd carski określał oficjalnie terytorium i mieszkańców daw. Królestwa Polskiego. [przypis edytorski]

¹¹⁰ *da-s, eto toczno* (ros.) – tak, rzeczywiście. [przypis edytorski]

korytarzu mogła już opuścić gimnazjum, gdyż jasną było rzeczą, że przyjętych będzie trzydziestu kilku, którzy siedzieli w klasie. Ci ostatni, z wyjątkiem kilku prawosławnych i synów ludzi zamożnych albo wysoko postawionych, byli dziwnym zbiegiem okoliczności uczniami pana Majewskiego. Tak chlubnym złożeniem egzaminu wystawili oni najlepsze świadectwo jego zdolnościom pedagogicznym i wykazali, co znaczy przed wstąpieniem do gimnazjum chociażby tylko parę lekcji konwersacji z dobrym akcentem.

Niepodobna opisać radości pani Borowiczowej. Spoglądając przez szybę, kiedy Marcinka wołano na środek, wytrzymała ona prawdziwy paroksyzm wszelakich cierpień. Dokoła siebie widziała rozpacz osób, których najśłodsze nieraz nadzieje już się rozwiały; czuła tę rozpacz ich wszystkich, ale tak ją czując deptała nogami cudze nieszczęście i wdzierła się jakby po trupach, pędzona przez swoją miłość i swoją nadzieję.

Kiedy pan Majewski uśmiechał się do jej syna i kiedy po odpowiedzi wskazywał mu miejsce w ławie – uwielbiała tego profesora wszystkimi władzami serca matki, których niczym wymierzyć nie można; ale wkrótce potem, gdy tenże pedagog wyszedł z klasy i ze zgniłym uśmiechem spoglądał na zastęp rodziców i dzieci odrzuconych z jego woli, uczuła, że i w niej, pomimo wszystko, szarpie się serce wzburzone i że się z niego wyrывa głucha i śmiertelna nienawiść. Pan Majewski szedł wśród tłumu rozdzielając ukłony na prawo i lewo osobom, które się do niego zwracały z błaganiami, płaczem i zapytaniami.

Wkrótce po nim wyszedł z klasy inspektor. Ten na nikogo uwagi nie zwracał, a gdy go zaczepił jakiś chudy jegomość pytaniem, jak też zdał jego młodszy synek, odpowiedział po rosyjsku głośno i zwracając się do wszystkich:

– Nie może być dobrych rezultatów, bo złe jest przygotowanie. Dzieci nie mówią po rosyjsku, więc jakże się mają uczyć w tej szkole, gdzie wykład nauk odbywa się w tym języku. Należy zrzucić pychę z serca i zabrać się do reformy. Wtedy dopiero dziecko może być przyjęte...

– Do jakiejże reformy, panie inspektorze, zabrać się należy? – spytał ów jegomość. – Niechże wiem przynajmniej, czego ci moi chłopcy nie umieją i czego się mają jeszcze uczyć, ażeby mogli zdać do klasy wstępnej. Trzymałem do nich nauczyciela przez półtora roku...

Głuchy szmer poparcia rozszedł się w tłumie.

– Należy jeszcze – zaczął wrzeszczeć inspektor – należy jeszcze mówić z nimi w domu po rosyjsku. Oto, jaka reforma przeprowadzona być musi! Pan wymagasz, żebyśmy przyjmowali pańskich synów do szkoły rosyjskiej, a sam nie umiesz czy nie chcesz mówić po rosyjsku, i do mnie, zwierzchnika tej szkoły, w murach jej ośmielasz się mówić jakimś obcym językiem! Pomyśl pan, czy to nie jest skandal?

– To nie jest bynajmniej skandal, jeżeli ja, nie posiadając żadnego obcego języka, przemawiam do pana inspektora tym, jaki umiem...

– Język rosyjski tu, w tym kraju, nie jest językiem obcym, jak się panu wyrażać podoba... Za pozwoleniem... pańskie nazwisko?

Chudy pan cofnął się i ukrył za plecami kobiet, które zwartym kołem otoczyły inspektora, poczęły przedkładać mu swe prośby, słuchać jego maksym i pogróżek.

Tegoż jeszcze dnia odbył się egzamin z religii. Słuchano z tego przedmiotu już tylko wybrańców losu.

Wskroś tłumu przecisnął się ksiądz prefekt Wargulski i wszedł do klasy.

Ksiądz Wargulski pochodził z *gulonów*¹¹¹ i miał wszystkie ich fizyczne i moralne przymioty. Był wielki, zgarbiony, o bardzo szerokich ramionach, rękach długich, żyłastych i ogromnie muskularnych. Siwizna dobrze już przyprószyła jego krótkie włosy, jak szczotka stojące nad kwadratowym czołem.

¹¹¹ *gulon* – mieszczanin. [przypis edytorski]

Ksiądz Wargulski patrzył zawsze spod oka i stulał wielkie swe wargi w taki sposób, że usta znać było na tej wygolonej twarzy tylko jako prostą linijkę. Mówił strasznie prędko, niezrozumiale i rzadko kiedy.

Wszedłszy do klasy, gdzie malcy siedzieli w dużych ławach nieruchomo jak sztachety w przesłach, ksiądz zbliżył się zaraz do pierwszego z brzegu, wyciągnął w kierunku jego nosa najdłuższy ze swych ogromnych palców i szybko wymamrotał:

– Jak się nazywasz? Przeżegnaj się, zmów *Ojcze nasz* i *Zdrowaś Maria*...

Zanim chłopiec zdobył się na trzecią część odpowiedzi, już prefekt wyciągał palec do drugiego:

– Jak się nazywasz? Przeżegnaj się, zmów *Ojcze nasz*...

Po upływie kwadransa wszyscy kandydaci dostali *piątki* i wychodzili z klasy.

Następnego dnia odbył się egzamin z arytmetyki. Była to już prosta formalność. Uczniowie pana Majewskiego i na tym polu odznaczyli się wybornie. O godzinie dwunastej inspektor przeczytał publiczności listę chłopców przyjętych do klasy wstępnej. Usłyszawszy wymienione imię i nazwisko swego syna, pani Borowiczowa krótko westchnęła. W owej chwili dopiero mogła zmierzyć smutną dolę, w której pograżone zostały dzieci rodziców niezamożnych, do szkół nieprzyjęte.

Po obiedzie, spożytym wesoło i z apetytem, wyruszono do „starej Przepiórzyca”. Pani Przepiórkowska, zwana w całym Wygwizdowie i przyległych do tego przedmieścia okolicach miasta „starą Przepiórzą”, była dawną znajomą pani Borowiczowej z owych jeszcze czasów, kiedy mieszkała w sąsiedztwie Gawronek na leśnictwie w Grabowym Smugu u syna, podleśnego lasów rządowych. Pani Przepiórkowska trzymała uczniów na stacji, toteż matka wstępniaka uznała za rzecz najstosowniejszą pod opiekę starej i dobrej znajomej go oddać. „Stara Przepiórzyca” miała onego czasu trzech synów i dwie córki. Z taką przynajmniej gromadką została po śmierci męża, oficjalisty fabryk żelaznych, na bruku, a raczej na błocie miasteczka Bełchatowa. Nie wiadomo nikomu, jakim sposobem z owego błota wybrnęła i dała dzieciom jaką taką edukację, dość że najstarszy i najukochańszy jej syn Teofil dostał miejsce podleśnego i zabrał całą rodzinę do siebie; młodszy otrzymał urząd na poczcie, a najmłodszy był kancelistą w Towarzystwie Kredytowym Ziemskim. Życie uśmiechnęło się wtedy do starej, ale krótko trwał jego uśmiech. Wybuchło powstanie, młodszy syn znikł z domu i więcej nie wrócił. Nie odnalazła nawet jego ciała, pomimo że zjeździła całą okolicę wzdłuż i w poprzek. W osiem lat później najstarszy syn Teofil, dobrodziej i opiekun całej rodziny, zmarł nagle w lesie ukąszony przez żmiję. Wtedy matka i dwie siostry sprowadziły się do najmłodszego, Karola, i zamieszkały u niego, czyli, jak w tamtych okolicach miasta bez żadnej złośliwości, przenośni, a z zupełną ścisłością mówiono, usiadły mu wszystkie trzy na karku. Panny Przepiórkowskie nie powychodziły za mąż, zestarzały się i uczyniły ze swych nawyknień, usposobień i humorów prawdziwy ocet siedmiu złodziei. Starsza z nich była osobą około lat czterdziestu i zachowała do tak późnego wieku zdolność uśmiechania się w niektórych momentach życia; młodsza z niewiadomych przyczyn tak skandalicznie zbrzydła, że według relacji uczniów z klasy siódmej i ósmej najspokojniejsze psy miejskie, których głosu nikt nigdy nie słyszał, szczekały zajadle, gdy przechodziła.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.